NR 12 (88)
ROK III

TYDZIEŃ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE

28.III.1948
CENA 35 ZŁ



Wesołego Alleluja!

NASZ WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY

NAJMILSZE DZIECKO „TYGODNIA"

Szczegóły na str. 5 wewnątrz numeru



80 Juruś Wąchal



81 Wiesio Kaszuba (Tarnów)





72 Haneczka Nawrot (Ziembice)



64 Tomasz Kujawski (Gołąbki)



95 Teresa Łubnicka (Łódź) karmi jelenia



84 Janeczek Mader (Nowy Bytom)



77 Lusia Tietze (Bydgoszcz)



71 Marek Zapędowski (Przedecz)

W RADOSNYM DNIU WIELKANOCY

NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA

WESOŁEGO ALLELUJA

NASZYM DROGIM CZYTELNIKOM OD NAJMŁODSZYCH „BERBECI" POCZĄWSZY NA NAJBARDZIEJ SZACOWNYM WIEKU KOŃCZĄC

przesyła

Redakcja i Administracja „TYGODNIA"



66 Dariusz Zwiech



79 Elżunia Nehyba (Warszawa)



83 Bar Jutrzenka



99 Leszek Cecot (Rzeszów)



69 Przyszła spółdzielczyni z Przemyśla



91 Marek Szczepaniak (Warszawa)



65 Krysia Kopiaszówna



67 Jerzy i Bazyli Wileńscy





73 i 74 Wandzia i Ewa Fiksa po stracie swej mamusi



86 Jurek i Adaś Vogel kochający się bracia



90 Henryk Kruciński (Katowice) przyszły śpiewak operowy



78 Boguś Śliwiński ma mało zmartwień



98 Basia Rek (Wrocław) i jej towarzysz





75 i 76 Alinka i Andrzejek Bierut (Kraków)



Z CYKLU: „POZNAJEMY DZIECI CAŁEGO ŚWIATA"

Młodziutka pobratymcza Jugosławia, pluszcząc się w ciepłych falach Adrjatyku, przesyła uśmiechy i radosne pozdrowienia dzieciom całej Polski.



106 Maryś Jankowski ze swoim przyjacielem



105 Czy moje niebieskie oczka nie znajdą amatorów?



96 Pierwszy krok nad polskim Bałtykiem



102 Urszula Miłoszewska zadowolona z życia

ŚWIĘTO ZMARTWYCHWSTANIA

Kiedy jesienią 1939 r. spotkałam pierwszych znajomych z Warszawy, powiedzieli mi, że łatwiej będzie wybudować nowe miasto, niż podnieść z gruzów stolicę.

W ciągu wojny Warszawa była kilkakrotnie bombardowana.

Potym przyszło powstanie i systematyczne niszczenie miasta.

Teraz już naprawdę wielu sądziło, że nadszedł jego koniec.

Gdy rozeszła się wiadomość, że Warszawa ma po dawnemu być stolicą Polski, ludzie pytali: gdzie? na gruzach? Ale coraz więcej dawnych mieszkańców zaczęło przyjeżdżać do Warszawy, narazie nie żeby zostać, tylko zobaczyć...

Mówi się, że każde miasto posiada odrębny charakter. Cóż w takim razie powinno stać się z miastem, którego „charakter“ stanowią gruzy?

Czyż mogłoby wogóle istnieć?

A jeżeli egzystuje i powstaje z martwych, to dowodzi, że ma coś więcej niż „charakter“, że posiada duszę.

Losy Europy i świata ważą się na konferencjach pokojowych. Od ich decyzji zależy bardzo dużo, ale nie wszystko. Bez względu na to, co kiedyś może nastąpić, wierzę, że Warszawa będzie istniała tak długo, dopóki istnieje naród Polski, że w najistotniejszym tego słowa znaczeniu — jest niezniszczalna. Gdyż miasta nie powstały z przypadku ani drogą decyzji, z góry powziętej.

Powstawały tam, gdzie krzyżowały się naturalne szlaki handlowe, nad brzegiem morza, przy spławnej rzece. I nie od razu były miastami.

Zaczęło się od targowiska, na które ludzie przynosili skóry, i mięsiwo, a handlarze rozkładali stragany z zamorskimi towarami. Był tam także plac, na którym ćwiczyła młodzież i agora gdzie toczyły się dysputy.

I zaraz na początku wykopywano wspólną studnię, z której każdy mógł zaczerpnąć wody.

Potem powstała świątynia, do której ludzie chodzili się modlić wspólnie.

Miasto było pierwszą społeczną własnością.

Z czasem ludzie przywiązywali się do miasta nie mniej niż do ziemi rodzinnej.

I dlatego na to, ażeby miasto zmieść z mapy świata nie wystarczy spalić jego zamki, zburzyć kościoły i zatruć studnie.

Trzebaby wymordować wszystkich, którzy modlili się w tych kościołach, targowali na placach i chodzili z dzbankami po wodę do studni.

Dopóki oni żyją, można mieć pewność, że wrócą do swojego miasta. Najpierw — ażeby zobaczyć, a potem zawsze znajdzie się ten jeden, pierwszy, który podniesie wypaloną cegłę, ażeby nie tamowała drogi tym, co przyjdą po nim i zacznie zbierać odłamki szkła, ażeby nie poraniły się o nie dzieci, które być może wrócą bose. A za tym pierwszym pójdą inni i nikt nie wątpi, że powoli miasto zmartwychwstanie do życia.

Co roku na wiosnę świat chrześcijański obchodzi swoje święto Zmartwychwstania Pańskiego. Obchodzi je na pamiątkę zdarzenia, które było triumfem nad śmiercią.

Był taki czas, kiedy myśl o świętach — kojarzyła się przeważnie z pojęciem zabawy i odpoczynku, jedzenia i picia. I nikt nie przypuszczał, że symbolika ...że dla nas nowej aktualności.

Dziś, kiedy patrzymy na małe dziewczynki sprzedające wśród gruzów pęki baź wielkanocnych, odczuwamy jakiś świeży związek z świętem Zmartwychwstania.

Ach, naturalnie, że znowu będziemy farbować jajka i formować baranka z masła.

Ale to nie wszystko.

W tym dniu — bardziej niż kiedyindziej będziemy odczuwali powstawanie do życia domów skazanych na zagładę, miasta, które zwyciężyło — jak ongi przez Poncjusza Piłata wydany — wyrok śmierci.

WIELKI PIĄTEK

Najwyższa świętość przed sądem zbrodniarza —
Zbawiciel stanął przed sądem Piłata
I cierpi milcząc, gdy tłum Go znieważa,
Odpycha Miłość i Prawdą pomiata.

Panie! Czyż nie masz piorunów w Twej mocy?
Nie chcą miłości — to zapanuj strachem!...
Możesz świat zburzyć palcem Twej wszechmocy,
A sam nie runiesz, jak Samson pod gmachem.

Gdzież rzesze one, coś karmił zgłodniałe?
Gdzie młodzian z Naim? Gdzie Łazarz wskrzeszony?
Gdzie uzdrowionych są szeregi całe?...
Świadczyć o Tobie mogłyby miliony!...

Gdzież słudzy Twoi?... O Panie nad Pany!
Gdzie ucznie Twoi? Gdzie ten który leżał
Na piersi Twojej — Jan umiłowany...
Czyżby on także... i on Cię odbieżał?...

Lecz jeszcze jedna została otucha,
Na przemoc gwałtu jest miecz Archanioła!..
Anielskie wojsko w natężeniu słucha,
Może Pan niebian na pomoc zawoła...

Nie!... nie dziś jeszcze... On wytrwa do końca,
On długi świata spłaci do ostatka,
Wnet Go opuści nawet promień słońca...
Jedna Go tylko nie opuści Matka!...

Jej wzrok przeniknie te przestrzenie czarne,
W których na chwilę zgasną blaski krzyża:
A gdy się spełni męczeństwo ofiarne,
Brzask Zmartwychwstania szybko się przybliża!

M. B.



TYDZIEŃ Nr 12 (88) ROK III
28. III. 1948



JAN PODRAZIŃSKI

POLSKI WIELKI TYDZIEŃ W ZIEMI ŚWIĘTEJ

Otwarciem Wielkiego Tygodnia jest Niedziela Palmowa. W dniu tym wyruszają z Jerozolimy ogromne tłumy katolików, zmierzając różnymi drogami i dróżynami do biblijnej Betanii, położonej ponad Górą Oliwną, by stamtąd ruszyć procesją drogą Chrystusową do Jerozolimy.

W latach wojny wielką grupę w tej procesji tworzyli Polacy, uchodźcy i żołnierze, kobiety i mężczyźni. Gdy wyciągnięty wąż ludzki wąską dróżyną, wijącą się wśród gaju oliwnego zstępował z Góry Oliwnej zbliżając się ku Getsemani, Polacy śpiewali swe własne pieśni, które przynieśli w te dalekie strony przez siedem gór i siedem rzek, przez siedem granic, które musieli przebyć, zanim dotarli do Ziemi Świętej, ziemi wówczas spokojnej, nie wstrząsanej spazmami bratobójczej walki.

Wszyscy nieśli w rękach palmy i z tymi palmami począwszy od Getsemani wznosić się zaczęli wygodną już szosą ku murom starej Jerozolimy. Przez Złotą Bramę, przez którą Chrystus wjechał w mury świętego miasta, pochód dostał się w wąską szyję uliczek starej Jerozolimy i posuwał się ku kościołowi św. Anny, pod murami którego istnieje po dzień dzisiejszy biblijna sadzawka Betseba. Tu, po uroczystych nieszporach procesja rozwiązuje się.

Jedną z ważniejszych uroczystości Wielkiego Tygodnia stanowiła Droga Krzyżowa wielkopiątkowa. Była ona zakończeniem serii Dróg Krzyżowych jakie przewijały się przez uliczki starej Jerozolimy przez cały okres Wielkiego Postu. Pochód zaczynał się na dziedzińcu dawnego pałacu Piłata Ponckiego. W pierwszych latach uchodźctwa prowadził polską Drogę Krzyżową biskup włocławski, ks. Radoński. Droga prowadzi przez dzielnicę arabską, więc mieszkańcy arabscy w pierwszym roku uchodźczym, w r. 1941 ciekawie obserwowali niezwykły dla nich i liczny pochód, w którym obok nielicznej jeszcze wówczas grupy cywilnych uchodźców brali tłumny udział żołnierze Brygady Karpackiej, wsławionej później bojami w obronie Tobruku. Obok oficerów szli w tym żmudnym pochodzie zwykli żołnierze, wdzierając się po wyślizganych głazach coraz wyżej i wyżej aż ku Golgocie, leżącej dziś w murach Bazyliki Grobu Świętego.

Arabowie wychodzili na progi swych domostw, sklepów i kramów i patrzyli ciekawie na ten egzotyczny dla nich pochód, słuchając nieznanych w melodii i w brzmieniu pieśni.

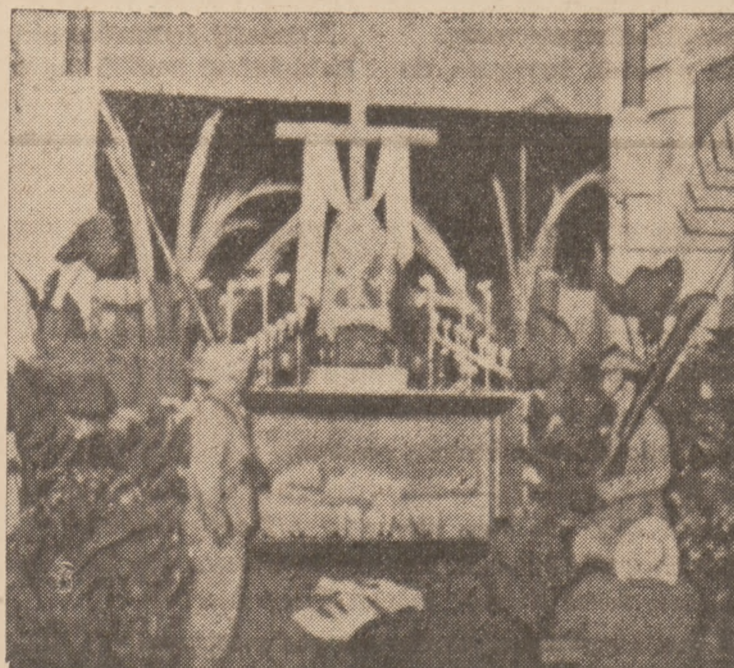
W owym pierwszym roku uchodźczym ktoś wpadł na pomysł, by ufundować ciężki dębowy krzyż, który niesiony był kolejno przez kilka osób aż na Golgotę, a po procesji Wielkopiątkowej umieszczany był rok rocznie w kościele księży francuskich Assunpcjonistów, oddanym na nabożeństwa dla Polaków, gdzie pozostawał aż do Rezurekcji. Krzyż ten miał wrócić kiedyś wraz z Polakami do Polski, ale nie wiadomo, co się z nim obecnie dzieje. Być może, pozostaje wciąż jeszcze w kościele francuskim, przypominając przebywającym jeszcze w Palestynie Polakom ich ślubowanie i przypominając im krętą i ciężką drogę do Polski.

Przed katolickim ołtarzem na Golgocie odbywały się ostatnie uroczystości wielkopostne. Obok stał posąg Matki Boleściwej, której łzy spadały na wiszące w gablocie wota. Było i pozostało wśród tych wotów wiele odznaczeń bojowych polskich żołnierzy, krzyżów i medali, zyskanych na licznych polach bitew. Składali je u stóp Matki Bożej z prośbą o szczęśliwy powrót. Wielu zapewne nie wróciło, pozostawiając swe kości w Tobruku, pod Gazalą, na krwawym wzgórzu Monte Cassino, pod Anconą i Bolonią.

Gdy Droga Krzyżowa kończyła się na Golgocie, w kościele francuskim żołnierze polscy pod karabinami w hełmach trzymali już straż u Grobu Bożego. Przez całe popołudnie przewijali się przez kościół wierni. Nie tylko Polacy. Wnet po mieście rozeszła się wieść o pięknym Grobie Bożym, urządzonym przez Polaków. Najpierw pojedyńczo, potym grupami, zaczęli zaglądać do kościoła francuskiego wierni różnych innych narodowości, wśród których było nie mało Arabów - katolików.

Ten pochód obcych przed polskim Grobem Bożym nabierał nasilenia w ciągu Wielkiej Soboty, gdy wiadomość obejmowała coraz szersze kręgi. Zainteresowanie nabierało najwyższego napięcia podczas Rezurekcji. Ogromny kościół francuski nie mógł pomieścić wiernych, choć Polaków było przecież jeszcze w owym pierwszym roku niewiele. Było ich jednak dosyć wielu, aby całej uroczystości nadać piętno polskie.

Główna nawa tonęła jeszcze w mroku, gdy przed wielkim ołtarzem ks. biskup Radoński rozpoczął modły liturgiczne. Księża Assunpcjoniści uwijali się wśród tłumu wiernych, by znaleźć im jakieś znośne miejsce w tłoku, mimo to jednak pełne były krużganki klasztoru i długi tunel między murami, prowadzący z ulicy do kościoła.



Dwaj żołnierze polscy pełnią wartę u Grobu św.

Wreszcie przed Wielkim Ołtarzem rozbłysły światła i rozjarzyły się wszystkie nawy kościoła. Ks. biskup Radoński odwrócił się i zaintonował od ołtarza polską pieśń wielkanocną, najprostszą i najpopularniejszą:

„Wesoły nam dziś dzień nastał"... i począł zwolna zstępować po stopniach, trzymając w rękach posąg zmartwychwstałego Chrystusa z chorągwią. Natychmiast poważniejsi uchodźcy, cywilni i wojskowi wzięli go pod baldachim i procesja ruszyła krużgankami na dziedziniec klasztorny. Pieśń potężniała, rosła. Cała stęskniona za Polską dusza ludu uchodźczego i żołnierzy tułaczy mieściła się w tej pieśni, przewalała się przez mury okalające klasztor, biła w niebiosa w wielkiej, głośnej prośbie o zmiłowanie nad umęczoną polską ziemią i jej ludem, jęczącym pod okrutną okupacją odwiecznego wroga. Była w tej pieśni również prośba o skrócenie lat tułaczki, było wołanie żołnierza polskiego o rychły bój z wrogiem, o odwet za klęskę wrześniową, a po zwycięskim boju o szczęśliwy powrót.

Za celebrantem posuwały się rozśpiewane tłumy. W rękach wiernych jarzyły się świece i gromnice, tyle ich było jednak, że rozjaśniło się niebo nad klasztorem francuskim łuną, a siła pieśni rozbijała się o mury domów w bliższych i dalszych ulicach. Po raz pierwszy zapewne stara Jerozolima, Chrystusowe miasto, słyszała tak potężną pieśń polską. I cała Jerozolima wiedziała, że to polski lud śpiewa w tym francuskim kościele, tak gościnnie przez cały czas wojny przyjmujący w swych murach Polaków. Starcze twarze księży Assunpcjonistów rozjaśniły się w tym dniu radością, bo nigdy jeszcze takich tłumów wiernych w tych murach nie widzieli.

Upływały lata, a każdy rok przynosił jakieś zmiany. Napływało coraz więcej uchodźców i choć odeszła z Palestyny do Egiptu Karpacka Brygada, polskie Rezurekcje były z każdym rokiem liczniejsze i z każdym rokiem radośniejsze. Bo wiadomości ze wszystkich frontów były co raz pomyślniejsze. Każda z nich głosiła, że koniec tułaczki jest co raz bliższy, a nadzieja powrotu do Ojczyzny coraz bardziej rzeczywista. Odeszły z Palestyny polskie wojska. Poszły do Włoch, na bezpośrednie zmagania z wrogiem, który porażony został na wielu polach bitew. Rezurekcje odbywały się rok rocznie i rok rocznie polska pieśń wielkanocna biła w niebo ponad mury klasztoru. Aż w 1946 r. po raz pierwszy odbyła się Rezurekcja radosna. Po raz pierwszy przed Grobem Bożym w kościele księży Assunpcjonistów przesuwały się twarze nie napiętnowane beznadziejnym smutkiem tułaczy, lecz nadzieją rychłego powrotu do Polski i radością bliskiego powitania polskiej ziemi.

Wielu już wróciło. Inni pozostali jeszcze, nieświadomi, ale i oni wreszcie wrócą. W Jerozolimie pozostanie tylko pamięć polskich Rezurekcyj i polskich pieśni, które przez kilka lat wojennych rozbrzmiewały w jej starych murach.

Quas ŚWIĘCONE

Pani Jadwiga w radosnym podnieceniu kończyła przybieranie stołu.

Święcone było właściwie już gotowe. Jeszcze tylko chodziło o dekorację stołu gałązkami bukszpanu, co należało do tradycji.

Pomagało w tym pani Jadwidze dwoje dziatek, skubiących ukradkiem smażone ozdoby mazurków. Pan Józef chodził za żoną dokoła stołu, rzucając od czasu do czasu cenne uwagi:

— Ten schab postawiłbym bliżej, bo szynka go zasłania.

— Baranka myślę przekręcić tą ułamaną nogą do tyłu.

— Tu by można jeszcze tę nalewkę wiśniową zmieścić.

— No! Gotowe! — oświadczyła wreszcie z westchnieniem ulgi pani Jadwiga, obejmując badawczym spojrzeniem całość. — Ja się teraz trochę ogarnę i pójdę z dzieciakami na groby. Potym odprowadzę je do mamy, żeby jutro nie przeszkadzały przy gościach. Gdybyś był głodny, to niech ci Zosia poda herbaty.

Tak się już utarło, że święcone napoczynano dopiero w pierwszy dzień świąt, podczas późnego śniadania z udziałem gości.

Po wyjściu małżonki pan Józef krzątał się jeszcze chwilę, poprawiając drobne usterki kompozycyjne zastawy, gdy w przedpokoju rozległ się dzwonek.

— Ha! Jak się masz Władziu! — gospodarz serdecznie powitał kolegę z biura. — Właśnie sam jestem...

— To dobrze... to dobrze, — ucieszył się gość. — Weź kapelusz i wpadniemy gdzie coś przetrącić, bo w domu człowieka zamorzą głodem. A gdzie małżonka?

— Wyszła trochę na spacer. Napracowała się przy święconym...

—No i jakże święcone?

— A chodź, zobacz.

Obaj panowie weszli do pokoju, gdzie wspaniały widok olśnił oczy gościa.

— Fiu! Fiu! Tu kiełbaska, tu szyneczka, tu schabik, tu sztufada. A to prosiak! Jak Boga kocham!... I indyk! ...Czekajno, a to jakaś starka?

— U mnie już stoi z osiem lat, — rzekł skromnie pan Józef, promieniejąc słuszną dumą.

— E, no to czekaj... Gdzie mamy chodzić, żeby nas jeszcze struli na święta...

— Ale widzisz... tak w sobotę zaczynać... — wahał się pan Józef.

— A poświęcone już? — spytał pan Władysław z niepokojem w głosie.

— No tak. Posyłaliśmy do kościoła chleb i jajka...

—E, to w porządku! Już się bałem. Jak poświęcone, to nie ma co. Zacznie-my po chrześcijańsku od jajeczka, co? Tu sobie usiądziemy, na boku.

Pan Józef odczuwał jeszcze pewne skrupuły, kiedy wyjmował z kredensu kieliszki. Ale po drugiej kolejce starki zaczął patrzeć na sytuację mniej tragicznie.

Właściwie, to sam uważam — mówił, płatając potężną szynkę, — że... tego... daj swój talerz...

— Ale ma się rozumieć, — przytakiwał gość, odbierając z jego rąk napełniony talerzyk, — Może masz kabul? ... Czekajno, czekaj... Kazio ma cudowny sos, swojej roboty, do mięsa! Gdzie telefon?

W dziesięć minut później zjawił się zdyszany pan Kazimierz. Przed sobą niósł zawinięty w gazetę słoik. Nowy gość jednym rzutem oka ogarnął sytuację, po czym błogi uśmiech wykwitł na jego szczerem obliczu.

— Ha, ha, ha — rzekł kiwając głową z uznaniem — a człowiek w domu naleśniki panie, z serem... Który mój talerz?...

Pan Józef krzątnął się żwawo koło gości, pocieszając się w duchu, że, ostatecznie, wszystkiego jest tyle... ech!

Talenty kulinarne pani Jadwigi zatriumfowały w całej pełni. Pewną rolę grało też długie wyposzczenie się karnych małżonków, którzy, nie szczędząc pochwał i uznania dla pani domu, popierali wydatnie swój entuzjazm czynem.

— Dajcie tego prosiaka teraz, — zadysponował Władzio, kiedy skończyła się sztufada. — Daj, daj... ja pokraję. Bo trzeba umieć... Tobie od szynki? Proszę...

— Starka wyszła! — zaniepokoił się Kazio.

— Nic, nic, mamy wiśniówkę. A może wina?... — zaproponował pan Józef.

— To do indyka, — zadecydował Władzio, — Wiwat, panowie!

Pod wiśniówkę poszedł cały prosiak. Nie chcąc profanować indyka, resztę wódek panowie wypili pod schab i cielęcinę.

Doskonały indyk rzeczywiście był koroną przyjęcia. Wino przydało się teraz bardzo.

Obdarzeni z natury doskonałymi apetytami, przyjaciele wytężali wszystkie siły, by nie dać sobie zrobić krzywdy. Pan Józef nie pozostawał w tyle, doszedłszy do wniosku, że to jedyny sposób, by część święconego została w rodzinie.



Co pewien czas pojawiała się we drzwiach przerażona twarz Zosi

Co pewien czas pojawiała się we drzwiach przerażona twarz Zosi, śledzącej ze zgrozą postępy straszliwego spustoszenia na stole. Ona też zwiastowała grobową wieść powracającej pani Jadwidze.

Cichy jęk rozpaczy zelektryzował trzech panów, którzy na progu pokoju ujrzeli żywy posąg bólu.

Posąg potoczył konającym wzrokiem po pobojowisku, na którym bieliły się kości indyka oraz wyszczerzoną czaszka prosiaka i wyrzekła tylko jedno słowo:

— Świnie!

Nazajutrz gości spławiała Zosia. Pan Józef był niezdrów. P[illegible] ga czekała u m[illegible] jej rany.

RODZICE! — UWAGA!

Kochacie niewątpliwie ponad wszystko swoje dzieci...

Rozkoszne dzieciństwo Waszych pociech jednak szybko minie, wspomnienia z tego słonecznego okresu zaczną się zacierać i blednąć. Jako trwałe pamiątki z tych lat, kiedy Wasze „skarby" stawiały pierwsze nieporadne kroki, kiedy patrzyły na świat ufnymi, naiwnymi oczyma, kiedy buźki ich rozpromieniały się uśmiechem lub krzywiły rozbrajającym płaczem — POZOSTANĄ JEDYNE DOKUMENTY — FOTOGRAFIE.

Oceniając odpowiednio wartości tych dokumentów dla rodziców, ogłaszamy.

WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY «TYGODNIA»

pod hasłem

NASZ SKARB NAJWIĘKSZY DZIECKO

Tych naszych Czytelników, którzy pragną wziąć udział w konkursie prosimy o nadsyłanie oryginalnych fotografij DZIECI DO LAT 10, zdjęć branych wprost z życia, ostrych, o ile możności na błyszczącym papierze. Poza dziecka i wymiar fotografii obojętny.

KAŻDA FOTOGRAFIA DZIECKA
odpowiadająca wymaganiom technicznym,
BĘDZIE REPRODUKOWANA W »TYGODNIU«
w kolejności nadsyłania zdjęć.

Dla wzięcia udziału w Konkursie należy wyciąć poniższy kupon, który prosimy dołączyć do fotografii. ZGŁOSZENIA NA KONKURS NADSYŁAĆ MOŻNA DO DNIA 1 MAJA 1948 ROKU.

Po zakończeniu Konkursu Czytelnicy w ogólnym plebiscycie wybiorą, które dzieci drukowane w „Tygodniu" najbardziej im się podobają. Szczegóły plebiscytowego głosowania podamy w odpowiednim czasie.

Jako nagrody Redakcja przeznacza:

1. nagroda — zł 25.000 i tytuł:
«NAJMILSZE DZIECKO TYGODNIA»
2. nagroda — zł 15.000, 3. — zł 10.000

(Fotografie zdobywców trzech pierwszych miejsc będą reprodukowane na naszej okładce).

10 nagród po zł 1.000,

Trzy nagrody „Foto Hollywood" w postaci seansu fotograficzno - filmowego (20 zdjęć), z najlepszych zdjęć laureat konkursu otrzyma 12 pocztówek i portret; drugie z kolei nagrodzone dziecko — 12 pocztówek i trzecie — 6 pocztówek z seansu.

50 nagród książkowych oraz szereg dalszych które podamy w numerach najbliższych.

Uwaga! Fotografie bez kuponu nie będą zamieszczane.

Kupon Nr ....

(wstawi Redakcja)

1. ....
Nazwisko i imię dziecka

2. ....
Adres

3. ....

Jaki podpis pod fotografią ma być zamieszczony — wypełniają Rodzice. Wyciąć i dołączyć do fotografii.

PRZECIW FAŁSZYWEJ „POPULARYZACJI"

„Najzupełniej nieuzasadnionym i fałszywym jest przesąd, że ludzie pracy, że ich zainteresowania wymagają obniżenia poziomu twórczości kulturalnej i artystycznej, do stosowania jej do specyficznego jakoby prostackiego gustu i upodobań mniej lub więcej ordynarnych."

(Bolesław Bierut — „O upowszechnieniu kultury".)

Zacytowane powyżej słowa Prezydenta Rzeczypospolitej w sposób zdecydowany odcinają się od tendencji sprowadzenia problemu upowszechnienia kultury do jej wulgaryzacji.

W okresie, kiedy warstwy oświecone zaczęły przejawiać pewną troskę o „lud", nie mając przy tym najmniejszego pojęcia o tymże ludzie, pojawił się typ popularyzatora, idącego „w lud" z „kagankiem" specjalnie na ten cel spreparowanej „oświaty", tudzież „kultury". Pożal się Boże, czym to karmiono owego „młodego brata", skazanego na pokorne i wdzięczne przyjmowanie wszystkiego, co zechcia no mu protekcjonalnie zaofiarować. Różne mdłe „papki", wypełniające wyprane z wszelkiej śmielszej myśli wydawnictwa „popularno-naukowe", różne naiwne sztuczydła, umoralniające opowiastki, gramotki — to było rodzajem „kultury zastępczej", „kultury dla ludu", mającej wystarczyć na jego skromne potrzeby. W przygotowaniu tych mdłych, szpitalnych dań dla ubogich wystrzegano się wszelkiej ostrzejszej przyprawy, wszelkiej świeżości, żeby broń Boże konsument nie połknął czegoś „nieodpowiedniego"; podlewano je natomiast obficie jałowym sosem dobrej woli. Pisarze bez talentu, naukowcy bez kwalifikacji, wykładowcy bez słuchaczy stanowili „przebojową" kadrę popularyzatorów, niosących „w lud" nie tyle kulturę, co jej nieudolną i odstręczającą namiastkę. Kiszki się przewracały, kiedy przeglądało się tego rodzaju „publikacje" i „dzieła sztuki".

Dzisiaj, nie warto by się tym zajmować, gdyby nie to, że sprawa nie przestała być tak zupełnie nieaktualna. I dzisiaj w dobie demokracji znaleźli się osobliwego nabożeństwa „demokraci" i „upowszechniacze", pojmujący na swój sposób zagadnienie upowszechnienia i demokratyzacji kultury. Podług ich recepty trzeba znowu tworzyć jakąś specjalną kulturę „dla robotnika i chłopa", innymi słowy „dla mas pracujących", rodzaj strawnej „sałatki popularnej". Trzeba dodać, iż rzecznicy, oraz potencjalni twórcy owych dóbr duchowych specjalnego przeznaczenia nie widzieli zazwyczaj z bliska prawdziwego chłopa i prawdziwego robotnika, zadawalając się ich abstrakcyjnym wyobrażeniem.

Robotnik nie jest jakimś odrębnym gatunkiem człowieka, jego potrzeby i zainteresowania umysłowe i kulturalne są poprostu ludzkie. Nie istnieją u nas dwie, nic nie mające ze sobą wspólnego kultury — jedna, dla wybranych, druga — dla maluczkich. Powodzenie wielkiego repertuaru teatralnego w środowiskach robotniczych jest tego wymownym dowodem.

Zapewne, że popularyzacja, zwłaszcza w dziedzinie wiedzy, ma swoje uzasadnienie. Człowiek kulturalny chce mieć pojęcie o każdej dziedzinie wiedzy, czy sztuki, co nie znaczy, żeby mógł być w każdej z nich specjalistą. Zapewne, czym innym jest rozprawa naukowa, napisana przez astronoma dla stronomów, co innego książka dla szerokiego ogółu czytelniczego, zawierająca ogólne wiadomości o ciałach kosmicznych. Ale to już właśnie jedyny podział, jaki można zastosować: prace dla specjalistów i niespecjalistów.

Profesor, który wprowadza studentów w dziedzinę nowej dla nich wiedzy nie „zniża się" do ich poziomu umysłowego, a tylko odbywa z nimi drogę, którą sam przed tym musiał odbyć. Taki sam winien być stosunek popularyzatora naukowego do czytelnika. Stosunek rzetelnego przewodnika, traktującego swych czytelników, jako pełnowartościowych towarzyszy wysiłku umysłowego.

Natomiast „popularyzacja" sztuki to już w ogóle nieporozumienie. Sztuka prawdziwie wartościowa i prawdziwy talent przemawiają językiem zrozumiałym bez pośrednictwa i tłumaczów, interpretatorów i pomniejszaczy. Zaś sztuka bezwartościowa nie ma wogóle racji bytu, a beztalencie nic do czynienia w sztuce. Wielkie w historii dzieła sztuki od początku i na zawsze stały się własnością, dumą i ukochaniem ludu. Nie wymagały przeróbek na użytek maluczkich.

M. S.

POLSKI SOCJALIZM REWOLUCYJNY

Na posiedzeniu Rady Stołecznej PPS w dniu 17 marca br. sekretarz generalny CKW PPS — Premier Józef Cyrankiewicz wygłosił zasadnicze przemówienie, które ujmuje różnice między liberalnym socjalizmem zachodnio-europejskim, a rewolucyjnym socjalizmem w krajach Europy Środkowej i Wschodniej. Zróżniczkowanie tych dwóch kierunków socjalizmu europejskiego musiało w procesie my ślowym doprowadzić premiera Cyrankiewicza do jasnego i zdecydowanego określenia programu PPS na najbliższą przyszłość.

Przemówienie Premiera nie pozostawia żadnych niedomówień. Socjalizm zachodnioeuropejski zeszedł na manowce. Przyznają to sami jego przywódcy. Leon Blum, który niegdyś głosił hasło: „pas d'ennemi à gauche" (nie mamy nieprzyjaciół na lewo), zaparł się tego hasła, tworząc z socjalizmu francuskiego „trzecią siłę" — nowy czynnik polityczny, który miał być tamponem między lewicą a prawicą, a stał się sojusznikiem odradzającej się pod protektoratem amerykańskim reakcji. W W. Brytanii socjalizm nigdy nie wykazał odruchów rewolucyjnych w polityce wewnętrznej, a w polityce zagranicznej idzie po linii dawnej polityki konserwatywnej. Wypływa to zapewne z wrodzonego tradycjonalizmu brytyjskiego.

W Europie Środkowej i Wschodniej — jak to podkreślił Premier — zwycięstwo nad faszyzmem zbiegło się z głębokimi przemianami natury politycznej i socjalnej. Przemiany te dokonały się bez rozlewu krwi. Przemiany były rewolucyjne, ale forma, w jakiej się dokonały, była ewolucyjna. Tym nie mniej, PPS doszło do przekonania, że zdobycze tej rewolucji dadzą się utrzymać środkami rewolucyjnymi. Że w tej walce o utrzymanie zdobyczy ludu nie może być nieprzyjaciela na lewicy. Że wobec tego nasuwa się nieodparcie koncepcja jedności partii robotniczych. Do jedności tej zmierzało PPS etapami, zacieśniając coraz bardziej współpracę z Polską Partią Robotniczą.

Oznacza to rozłam w socjalizmie europejskim. Ale Premier, piętnując manowce socjalizmu liberalnego, uznał ten rozłam za konieczny.

tak i nie

Rozczarowanie

ARGENTYNA i Chile urządziły wyścig do wysp Falklandzkich, do których rości sobie pretensje również Wielka Brytania. Prezydent Chile Gonzalez Videla wybrał się nawet osobiście w te już prawie podbiegunowe okolice i oświadczył przedstawicielom prasy że na nadzieję na znalezienie na wyspach bogactw naturalnych, a przede wszystkim uranu. Stanowiłoby to nowe źródło bogactwa dla Chile.

Należy jednak pamiętać, że główna wyspa tego archipelagu nazywa się „Decepcion". Po polsku oznacza to rozczarowanie. (P)

Honduras

ZATARG Chile i Argentyny z Wielką Brytanią o posiadłości podbiegunowe wywołał znamienne reakcje w środkowej Ameryce. Guatemala zapragnęła z kolei wyzwolić ostatnie posiadłości kolonialne państw europejskich w Ameryce, a w pierwszym rzędzie sąsiedni brytyjski Honduras. Anglicy wysłali okręty wojenne. Do wojny oczywiście nie dojdzie, ale co na to wszystko powie wuj Sam?

Przecież jeszcze w r. 1823 prezydent Monroe oświadczył, że żadne państwo europejskie nie może mieszać się do spraw dotyczących kontynentu amerykańskiego! (P)

Anglia

ANGLICY byli wielce uradowani nadejściem pierwszych transportów zbóż ze Związku Radzieckiego na podstawie ostatnio zawartej umowy gospodarczej. Znaleźli się oczywiście malkontenci w szeregach zwolenników Churchilla. Ci ostatni zadali w czasie jednego z ostatnich posiedzeń Izby Gmin szereg pytań ministrowi handlu zagranicznego Wilsonowi, zmierzając do pomniejszenia znaczenia układu handlowego z ZSRR.

Minister Wilson udzielił wyczerpujących wyjaśnień, po czym dodał: „Wydaje mi się, że panowie nie zdają sobie sprawy, że układ w sprawie dostawy zbóż ze Związku Radzieckiego wpłynął na giełdę w Chicago, gdzie zanotowano znaczną zniżkę cen".

Nam się zdaje, że interpelanci dobrze o tym wiedzieli, bo sami stracili pieniądze na tym spadku cen i dlatego byli tak rozgoryczeni. (P)

Belgia

W BRUKSELI zebrali się przedstawiciele Wielkiej Brytanii, Francji i Beneluxu (Belgii, Niderlandów i Luksemburgu) dla zawarcia paktu zachodniego. Rzecz jest zbyt szczegółowo omawiana w prasie codziennie, abyśmy mieli do tej sprawy powracać. Podajemy jedynie doniesienie, otrzymane od naszego korespondenta w Brukseli.

W tym samym dniu, w którym zebrali się ministrowie pięciu państw w prasie brukselskiej ukazało się następujące doniesienie:

W Gandawie po opuszczeniu zebrania znaczna grupa młodzieży, należąca do organizacji „Srebrnych Mew" ubrana w swe mundury z czasu okupacji urządziła demonstrację i pochód przez ulice miasta. Mieszkańcy Gandawy mieli możność podziwiania znie nawidzonych zielonych mundurów, słuchania werbli i fanfar, przy dźwię ku których defilowali członkowie byłej „Narodowo - socjalistycznej młodzieży flamandzkiej".

Wydarzenie to stanowi dostateczny komentarz do konferencji Brukselskiej. (P)

Jemen

GDYBY wierzyć pewnym doniesieniom prasowym, w królestwie arabskim Jemen, wybuchła rewolucja mająca podłoże społeczne. Zamordowano dotychczasowego absolutnego władcę Imama Iahia, a grupa „postępowych" szejków, zjednoczona wokół jednego z licznych synów zmarłego El Wazira, ma przeprowadzić reformy demokratyczne.

W istocie sprawa przedstawiała się nieco inaczej. Stary Imam w obawie, by ktoś nie dobrał się do jego skarbów (czytaj tantjem za udzielone Amerykanom koncesje naftowe), załadował złoto na wielbłądy i urządził wyprawę w głąb pustyni, aby ukryć skarby w nowym bezpieczniejszym miejscu. Przy okazji, po wykonaniu zadania polecił zamordować 15 niewolników (niewolnictwo istnieje bowiem po dziś dzień w tym kraju cieszącym się opieką kapitału). Ale 40.000.000 dolarów w złocie stanowi wielką pokusę, więc synowie postanowili usunąć bogatego papę i podzielić się schedą o parę lat wcześniej.

A więc zwykły mord rabunkowy, a nie żadna walka o demokrację. (P)

Aleksander Then

AMERYKANIZACJA zachodniej EUROPY

W Brukseli podpisany został pakt „unii zachodniej", na zasadzie zredukowanego planu min. Bevina. Miało być inaczej, wyszło inaczej. Kraje skandynawskie pozostały wierne swej polityce neutralności i odmówiły udziału w unii. Ich pozycja geograficzna na wybiegach kontynentu europejskiego w morze pozwala im na trzymanie się zdala od bloków i wielkich kombinatów politycznych.

Włochy nie dojrzały jeszcze dostatecznie do udziału w wielkich zespołach międzynarodowych, dopóki wybory nie wyjaśnią całkowicie sytuacji wewnętrzno - politycznej kraju. Nie mniej pewne wstępne kroki w kierunku włączenia Włoch w wielki międzynarodowy nurt polityczny zostały już zainicjowane przez Sforzę.

W tym stanie rzeczy pierwotny projekt min. Bevina uległ znacznemu zwężeniu. Unia zachodnia objęła dwa mocarstwa zachodnie, Francję i Wielką Brytanię, związane już sojuszem podpisanym w Dunkierce w marcu ub. r. i trzy kraje Beneluxu: Belgię, Holandię i miniaturowy Luksemburg.

Taki układ unii nie stanowi sukcesu projektodawcy. Czynione są więc ze strony W. Brytanii i Francji wszelkie możliwe wysiłki, by unię wzmocnić przez wciągnięcie do niej jeszcze innych państw. Czynione są ponowne, lecz zdaje się bezskuteczne wysiłki celem przyciągnięcia do unii Szwecji. Nie jest wykluczone, że włączone do niej zostaną zachodnie Niemcy, a nawet frankistowska Hiszpania. Gdyby do tego doszło, unia miałaby zdecydowany charakter kapitalistyczno - faszystowski.

Kraje Beneluxu wykazywały pewne opory w kwestii klauzul wojskowych paktu unii. W tych warunkach okazała się konieczna gwarancja wojskowa Stanów Zjednoczonych. Jednocześnie plan Marshalla stanowił doskonały instrument nacisku ze strony Stanów Zjednoczonych, z drugiej strony mirażem pomocy amerykańskiej łudzi się te kraje, które wolały by pozostać poza kombinatami politycznymi. Konferencja krajów marshallowskich w Paryżu nie pozostawia pod tym względem żadnej wątpliwości. Wprawdzie min. Bevin nie wykazał już tego entuzjazmu dla planu Marshalla, jaki cechował jego zeszłoroczne wystąpienia, tym nie mniej okazał się on nadal wiernym planowi, który nałoży na jego kraj i na inne kraje korzystające z pomocy amerykańskiej więzy natury nie tylko ekonomicznej, ale i politycznej.

Oba te wydarzenia wskazują, że zachodnia Europa stoi pod wyraźnym znakiem amerykanizacji życia zarówno politycznego, jak i gospodarczego. Amerykanizacja ta nabiera tempa. Nawet bevinowska unia zachodnia nosi na sobie piętno amerykańskie. Ewentualne włączenie Hiszpanii do zespołu państw zachodnio - europejskich dokona się również z inicjatywy politycznej Stanów Zjednoczonych.

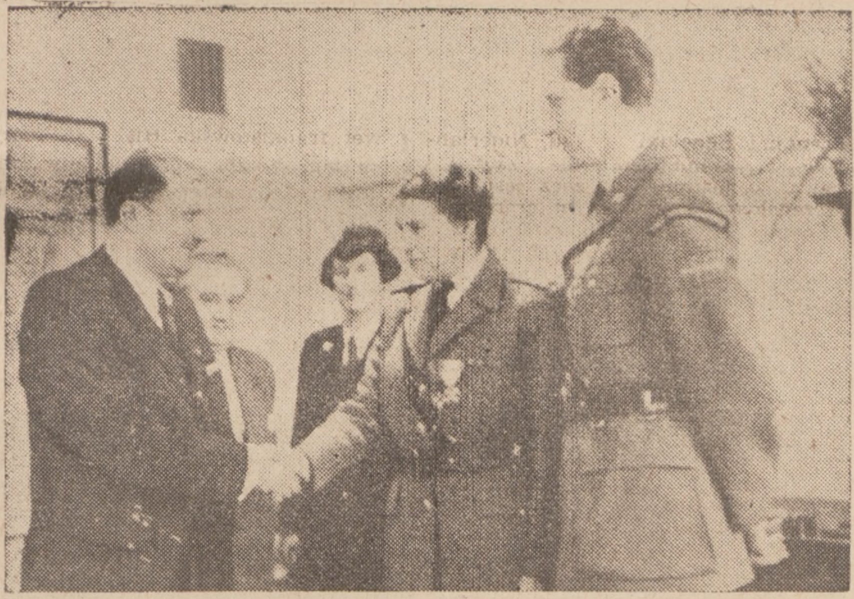
Silna ingerencja czynnika amerykańskiego w życie polityczne i gospodarcze zachodniej Europy stanowi o definitywnym podziale Europy, o jej rozbiciu wbrew naturalnej zasadzie o jedności europejskiego kontynentu. W istniejących warunkach wszystko przemawia za tym, że Europa będzie mogła wrócić do swej tradycyjnej jedności dopiero wówczas, gdy Stany Zjednoczone wycofają się ponownie za ocean.

Film TYGODNIA

Posiedzenie Rady Stołecznej P. P. S.



Dnia 17 bm. odbyło się w Warszawie posiedzenie Rady Stołecznej PPS na którym Sekretarz Generalny CKW PPS, Premier Cyrankiewicz wygłosił obszerne przemówienie.
Na zdjęciu: zagaja min. Rusinek, obok siedzi Premier Cyrankiewicz. (SAP)



W lokalu Zarządu Głównego PCK odbyła się dekoracja Złotym Krzyżem Zasługi zastępcy szefa holenderskiej misji Czerwonego Krzyża, kpt. Katia Munninghess i b. dyrektora Ośrodka polsko-szwedzkiego w Otwocku, dr. Harrego Neumllera. Dekoracji w imieniu Prezydenta R.P. dokonał Prezes PCK dr Kostkiewicz. (SAP)



Prezydent R. P. mianował plk. Braniewskiego Komendantem Głównym organizacji „Służba Polsce".



Anglicy już „wieją" z Palestyny. Zarządzono tam ostatnio ewakuację kobiet i dzieci brytyjskich. (SAP)

100 WIERSZY O SPORCIE

SPORTOWCY NASI otrzymali w upominku świątecznym bardzo cenny dar, jakim jest, niewątpliwie, dopiero co powołany do życia Główny Urząd Kultury Fizycznej w miejsce do tychczasowego PUWF i PW. Oddzielenie wf od pw znacznie ułatwi pracę nowej instytucji. Zgodnie z duchem obecnego ustroju społeczno-politycznego, Główny Urząd wciąga w orbitę swoich zainteresowań jak najszersze masy społeczeństwa z młodzieżą zarówno miejską, jak i wiejską na czele, która dotychczas w znacznym stopniu była poza zasięgiem oddziaływania kultury fizycznej.

GUKF będzie organizował cały szereg imprez masowych, a pierwszym tego wyrazem będą biegi narodowe w całym kraju w dniu 2 maja dla uczczenia Święta Pracy, następnie w lecie powszechna nauka pływania i święta sportowe w ramach uroczystości KCZZ i wsi z okazji Święta Odrodzenia.

W dziedzinie kontaktów międzynarodowych GUKF zapowiada znaczne ograniczenia, wychodząc z zasady, że lepiej i taniej jest sprowadzać trenerów, którzy by nauczyli czegoś naszą młodzież, niż wysyłać zagranicę tych sportowców, którzy by nie tylko kompromitowali nas, ale w dodatku po powrocie niczego by nie nauczyli naszej młodzieży. Wyjazdy zagranicę będą i sport polski przygotowuje się do udziału w igrzyskach bałkańskich i olimpijskich. Jeśli chodzi o olimpiadę, wyjadą tylko ci, którzy będą mieli szanse na osiągnięcie niekompromitujących miejsc; wyjadą również fachowcy i obserwatorzy, którzy będą czerpać wzory do budowy sportu w kraju.

Pozostawiając kluby sportowe o wielkiej i zaszczytnej tradycji pod względem ich nazw i zakresu działania, GUKF będzie chciał tylko skierować ich pracę na właściwe tory w oparciu o szerokie masy młodzieży i ludzi pracy.

GUKF zapowiada bezwzględną walkę z wszelkimi niezdrowymi objawami w naszym sporcie, a przede wszystkim z pijaństwem i ukrytym zawodowstwem.

PORUSZAŁEM niedawno na tym miejscu sprawę jawności sędziowania w szeregu sportach, wskazując na zacofanie pod tym względem w sędziowaniu w boksie, gdzie owa tajemnica orzeczeń sędziowskich daje pole mniej subtelnym arbitrom do orzeczeń niesumiennych. Z całą przyjemnością więc notuję propozycję prezesa Szczecińskiego Okr. Zw. Bokserskiego i sędziego zarazem, Łaukedreya.

Prezes - sędzia proponuje wyłonienie z grona sędziów 25 czy 30 arbitrów, którzy sędziowaliby w towarzystwie asesorów pod kontrolą sędziego. Jawność sędziowania miałaby według tego projektu polegać na tym, że przed meczem ogłaszanoby nazwisko sędziego, który ostatecznie i nieodwołalnie decyduje o wynikach walk. Projekt śmiały i niepozbawiony słuszności. Zobaczymy tylko jak zareaguje nań wysokie grono naszych sędziów.

KAPITAN SPORTOWY PZPN domaga się analizy krwi piłkarzy w celu sprawdzania, czy nie są oni zatruci alkoholem. Wyobraźmy sobie następującą scenę: podczas meczu Baran kopie z furią Gracza. Sędzia gwiżdże, na boisko wpadają sanitariusze, którzy chwytają Barana i robią analizę krwi. Podobnie, jak z kierowcą samochodowym, który rąbnął wozem o mur albo o przechodnia.

Projekt kapitana od piłkarzy nie jest zły. Są nawet rady rozszerzenia go w stosunku do działaczy klubowych. Strach pomyśleć, co by się działo na trybunach w czasie meczu niekoniecznie piłkarskiego, gdyby tak chciano przeprowadzić i wśród nich próby analizy...

Z. Weiss

Kalendarzyk historyczny

23 Marzec

1824 ur. się Zygmunt Miłkowski (T. Jeż.)
1842 zm. pisarz francuski Henri Beyle (Standhal)

24 Marzec

1241 Tatarzy palą Kraków
1784 zm. Franciszek Bohomolec
1794 przysięga Kościuszki na rynku w Krakowie
1822 ur. się Henri Murger, autor „Cyganerii Paryskiej"
1839 otwarcie Biblioteki Polskiej w Paryżu
1844 zm. rzeźbiarz duński Thordwaldsen
1905 zm. pisarz francuski Jules Verne
1935 spuszczenie w Newcastle polskiego statku „Hel"

25 Marzec

1914 zm. poeta Frederic Mistral, laureat Nobla
1924 proklamowanie Republiki w Grecji

26 Marzec

1472 wybór Władysława na króla Czech
1799 ur. się Stanisław Worcell
1827 zm. kompozytor Beethoven
1867 ur. się wybitny architekt Stanisław Noakowski
1868 ur. się pisarz rosyjski Maksym Gorkij (Aleksiej Pieszkow)
1881 Rumunia ogłoszona Królestwem
1942 początek kontrofenzywy sowieckiej pod Taganrogiem
1944 przysięga 3 Dywizji im. Traugutta

27 Marzec

1454 przysięga wierności Stanów Pruskich w Toruniu przed królem Kazimierzem Jagiellończykiem
1797 ur. się poeta francuski Alfred de Vigny
1802 koniec wojny francusko - angielskiej
1806 ur. się historyk August Bielowski
1845 ur. się fizyk Roentgen
1882 ur. się Zygmunt Kisielewski
1932 zm. prof. Bolesław Erzepki, badacz Wielkopolski

28 Marzec

1364 Konsekracja Katedry Wawelskiej
1749 ur. się astronom francuski Piotr Laplace
1862 ur. się Aristides Briand
1881 zm. kompozytor rosyjski Mussorgski, autor „Borysa Godunowa"
1898 Chiny odstępują Rosji Port Artura
1928 otwarcie III Sejmu Polskiego przez Daszyńskiego
1937 zm. kompozytor Karol Szymanowski
1942 próbne lądowanie wojsk alianckich pod St. Nazaire
1945 zdobycie Gdyni
1947 śmierć gen. Karola Świerczewskiego

29 Marzec

1656 zwycięstwo Czarnieckiego nad Szwedami pod Warką
1793 Prusacy zajmują Gdańsk
1848 powstanie Legionu Mickiewiczowskiego we Włoszech
1863 zm. poeta śląski Józef Lompa
1945 kapitulacja Manheimu

30 Marzec

1282 powstanie ludowe w Palermo przeciw Francji
1844 ur. się poeta francuski Verlaine
1856 konferencja pokojowa w Paryżu kończy wojnę Krymską
1925 odkrycie nowej komety przez polskiego astronoma Orkisza
1945 zdobycie Gdańska
1945 Jugosławia nawiązuje stosunki dyplomatyczne z Polską

31 Marzec

1596 ur. się filozof francuski René Descartes
1727 zm. Isaac Newton
1857 ur. się Achilles Ratti, nuncjusz papieski w Polsce, późniejszy papież Pius XI
1880 zm. kompozytor Henryk Wieniawski
1885 zm. poeta Bohdan Zaleski

SPÓJRZMY OCZAMI CUDZOZIEMCA NA NASZĄ KOCHANĄ WARSZAWĘ

Mimo ustawicznych legend o „żelaznej kurtynie", jaka rzekomo odgradza Polskę od państw zachodnioeuropejskich, w stolicy naszego kraju (i nie tylko w stolicy) przebywa mnóstwo cudzoziemców. Nic zresztą dziwnego. Polska już przed wojną wzbudzała duże zainteresowanie, a po przebytej obronie Warszawy we wrześniu 1939 r., po okrucieństwach koszmarnych lat okupacji i po zniszczeniach w czasie powstania — gdy zdawało się, że miasto przestało już istnieć i nie zdoła podźwignąć się — stała się magnesem przyciągającym turystów, niczym ruiny Pompei. Wystarczy wejść do Brystolu czy Polonii, by spostrzec, że krzyżują się tam niemal wszystkie języki świata.

Oczywiście interesujące jest to, co o nas ci wszyscy cudzoziemcy myślą. Gdy któregokolwiek z nich zapytać o to, po kilkudniowym pobycie, z reguły każdy z nich odpowiada, że przede wszystkim uderza go w nas niesłychana żywotność i zapał z jakim zabraliśmy się do postawienia na nogi — wydawałoby się — umarłego miasta i z jakim wysiłkiem kontynuujemy tę syzyfową — pracę.

Potakujemy z pewnym zniecierpliwieniem — gdy odpowiedź zaczyna się od tych właśnie tak dobrze nam znanych zdań.

Jakie jednak poza tym wrażenie wywożą cudzoziemcy z Warszawy? Co opowiadają swym rodakom po powrocie do siebie? To są pytania, na które każdy Warszawiak z pewnością pragnąłby usłyszeć odpowiedź.

Zorganizowaliśmy więc na prędce wśród kilku znajomych cudzoziemców małą ankietę „na wesoło". Zabiera w niej głos Szwed, Amerykanin, Czech, Francuz i Szwajcar. Nie gniewajmy się na nich, jeżeli znajdą się w ich wypowiedziach gorzkie słowa pod adresem Warszawy. Każdy z nich bowiem serdecznie lubi naszą stolicę i nawet krytykuje jej słabości czy niedociągnięcia z dużym sentymentem.

Tylko niepunktualność — twierdzi Szwed

Zaczynamy od Szweda — należy mu się to pierwszeństwo, gdyż bawi u nas od przeszło dwu lat.

— Jak się panu podoba Warszawa?

Rozmawiamy po polsku, gdyż mój interlokutor uczy się z zapałem naszego języka.

— Pytano mnie już o to chyba kilka tysięcy razy od dnia, gdy przyjechałem.

— I co pan wówczas mówi?

— Że miasto jest miłe i musiało być ładne. Wierzę, że już wkrótce będzie znów ładne. Odbudowuje się dużo i prędko, nie myślałem, że tak prędko. Na przykład Plac 3 Krzyży.

— A jak się pan czuje w hotelu?

— Bardzo dobrze. Stale jest bieżąca, gorąca woda, tego u nas w Szwecji od wojny nie ma.

Poza tym wypowiada się o hotelu z rezerwą, ale nie musi być mu tam najgorzej, gdyż przyjechał do Polski na trzy miesiące zaledwie, jest już jednak trzeci rok i choć wyjeżdża na Wielkanoc do Szwecji, to zaraz po świętach wraca.

— Lubię widok od mostu, zawsze tam jest ruch i życie. Lubię dorożki warszawskie zwłaszcza wieczorem wiosną. Są trochę śmieszne początkowo, ale miło niemi jechać na spacer. Podoba mi się zawsze dobry humor warszawiaków, w tym jest olbrzymia dyfferencja między Szwedami. Nawet po wódce. U nas po wódce jest zwykle bójka, a u was często wprawdzie pokłócą się, ale potem zaczynają całować się i znów piją dalej.

— Więc duże zużycie alkoholu u nas pana nie razi?

— Skądże? To właśnie uważam za wielki mankament u nas, że w Sztokholmie mogę kupić tylko trzy litry miesięcznie, a tu tyle, ile zechcę i kiedy zechcę.

Dalej podziwia koncerty, teatry i kwiaciarnie. Oczywiście wiele słów zachwytu pada pod adresem warszawianek. Że są szykowne, eleganckie, dobrze ubrane, a przede wszystkim miłe, swobodne.

— Co się jednak panu u nas nie podoba?

— Nie ma chyba nic takiego... Może to jedno. Posłałem numerowego po garnitur do pralni. Powiedział, że będzie za kwadrans, a to już przeszło godzina i jeszcze go nie ma. Zwykle tak się na wszystko długo czeka i nikt nigdy nie przychodzi punktualnie.

Wynoszę się czymprędzej. Boję się, że numerowy wkrótce może wrócić, ale okaże się, że garnituru nie przyniósł, bo choć pralnia obiecała uprać go na dziś — prawdopodobnie będzie dopiero gotowy za tydzień.

Brak tylko nocnych lokali

Co myśli Amerykanin o naszej stolicy?

— Mogę tylko powiedzieć, że jako dziennikarz nie miałem tu ani jednego nudnego dnia. Codziennie coś się dzieje, stale coś się zmienia. Gdzieindziej ludzie czekają, a tu wszędzie widzi się wytężoną pracę. Z ruin powstaje z dnia na dzień bardziej pulsujące życiem miasto. Z każdym dniem lepsza komunikacja...

— Podobają się panu nasze tramwaje?

— Chciałbym niemi jeździć, ale nie mogę nigdy dostać się — śmieje się Amerykanin. — Warszawiacy tak zawsze uprzejmi przy wsiadaniu do tramwaju nie celebrują tej ceremonialności jaką zwykle widzi się przy wchodzeniu do knajpy czy wychodzeniu z niej. Tam tłoczą się szturmem, tu dłuższy czas ziębną na ulicy, certując się, kto ma wejść pierwszy.

— Co pan lubi u nas najbardziej?

— Wyścigi. Gram bowiem ze szczęściem. Podoba mi się również zachowanie na meczach. U was tylko gwiżdżą jak wam coś nie podoba się, u nas potrafią rzucać różnymi przedmiotami.

— A co się panu u nas nie podoba?

— No, punktualność nie jest chyba specjalnością Warszawiaków — śmieje się szeroko korespondent. — Poza tym czekam lepszych czasów. Nie lubię wódki, a szampana trudno u was dostać. Brak również nocnych lokali, gdzie można by w miarę popić i trochę potańczyć, rozerwać się. Jak dla mnie prowadziwie wciąż jeszcze zbyt surowe życie.

Uprzejmość ginie w tramwaju i kinie

Czech, z którym następnie rozmawiam, to przedstawiciel sfer muzycznych. Warszawę zna mało, ale podoba mu się bardzo.

— To ogromnie sympatyczne miasto, zwłaszcza dla cudzoziemców, których warszawiacy traktują z wielką uprzejmością. Ale zauważyłem, że Warszawiacy bardzo uprzejmi w towarzystwie, zmieniają się radykalnie w tramwaju. Biada, jeśli się kogoś potrąci, jeden patrzy na drugiego, jak na śmiertelnego wroga. I konduktorzy tacy nieufni — nie wydadzą biletu dopóki nie otrzymają do ręki pieniędzy.

— A jak panu podobają się Warszawianki?

— To piękne, pełne wdzięku niewiasty. Trochę tylko kapryśne. Ubierają się z wielkim smakiem, ale zauważyłem, że przywiązują większą wagę do sukni czy kapelusza niż do pantofelków.

Przedstawiciel Francji jest u nas już po raz drugi, poprzednio był jakiś czas przed wojną.

— Warszawa to bardzo ciekawe miasto, kto je bliżej pozna, pokocha z pewnością. Wschód i zachód żyją tu obok siebie. Cudzoziemiec spotyka się tu z egzotyką, która go zaciekawia, a jednocześnie czuje się jak u siebie w domu.

— Co więc odpowiada panu najbardziej?

— Oczywiście kuchnia! Lubię dobrze zjeść i znam się na tym, a nigdzie nie można tak zjeść jak u was. Wasza kuchnia jest dziś chyba najlepsza na świecie. Poza tym podobają mi się wasze kobiety (oburzcie się Warszawianki! Dopiero po kuchni na drugim miejscu!), ale...

— Ale są niemożliwe w kinie. Nie zdejmą kapelusza i przeszkadzają patrzeć innym na ekran. Poza tym gadają bez przerwy. Jedzą, kręcą się, spóźniają. Ale spóźniają się nie tylko kobiety. Wszyscy. Choć stale bardzo się spieszą, nigdy jednak nie przychodzą nigdzie na czas.

I znów niepunktualność

Nr 5 naszej ankiety, to Szwajcar. Miły, przystojny pan w średnim wieku, bawił już w Polsce kilkakrotnie.

— Gdy tu jestem, to Warszawa mi się nie podoba, ale gdy wyjeżdżam, tęsknię za nią. Jest przecież dużo piękniejszych miast w Europie, no i mniej zniszczonych przede wszystkim, ale Warszawa ma sex-appeal, coś, co chwyta za serce. Hotele są u was bardzo drogie i nienajlepsze, a nie w hotelu mieszkać niepodobna — gdyby nawet było gdzie — to powroty wieczorne do domu są straszne. Czeka się bowiem na ulicy, nim zaspany dozorca zdoła się wreszcie po długim dobijaniu obudzić i otworzyć bramę.

— Ale chciałbym pochwalić przy okazji warszawskich sprzedawców gazet. Są ruchliwi jak nigdzie na świecie i stanowczo najlepsi w całej Europie. Nigdzie nie potrafią tak dobrze sprzedawać dzienników. Warszawscy gazeciarze skaczą do taksówek, tramwai, biegają z przejęciem i temperamentem, wykrzykując nagłówki. Gdzie indziej sprzedawca dostojnie siedzi na miejscu od czasu do czasu tylko wykrzykując tytuł dziennika.

— A co panu nie podoba się?

— Ustawiczny brak reszty wszędzie. Ile czasu traci się na to, by kelner czy szofer zdobył gdzieś wreszcie drobne. Szatnie są straszne wszędzie, zwykle odbiera się palto z oberwanym wieszakiem. No i wasza niepunktualność. Gdy ktoś mówi, że przyjdzie o g. 5, to zjawia się o g. 5.30, w najlepszym razie o 5.15. Dlaczego więc nie powie tak od razu.

Uderzmy się w piersi. Czy spostrzeżenia cudzoziemców o nas są obiektywne i czy nie mają oni racji? Czy my sami wiele razy nie narzekamy na te same sprawy co i oni.

Aneta Rutkowska

Janina Godlewska w „Słomkowym Kapeluszu"

Teatr Nowy w Warszawie wystawił świetną komedię francuskiego pisarza Labiche'a, którego niektórzy krytycy uważają za ojca wodewilu. Należy on do liczby najwybitniejszych humorystów francuskich.

Wyrósł on w tym samym środowisku paryskim, co Molier, Beaumarchais, Marivaux i Balzac.

Błyskotliwy dowcip i subtelny wdzięk jest charakterystyczną cechą Labiche'a, który przez lat kilkadziesiąt cieszył się ogromnym powodzeniem na wybrednych scenach francuskich.

„Słomkowy kapelusz" to farsa, w której pan młody, wśród niezwykłych powikłań, ugania się po Paryżu w poszukiwaniu słomkowego kapelusza, ciągnąc za sobą cały orszak weselny.

Julian Tuwim przerobił doskonale farsę Labiche'a i uczynił z niej wodewil ze śpiewami i tańcami, zaczerpnąwszy melodje z Offenbacha i wplatając w nią nowe wiersze, które ją aktualizują.

I chociaż treść sztuki jest zupełnie absurdalna, to jednak Tuwim — przez wstawienie oryginalnych piosenek i wstawek — uczynił z niej małe arcydziełko.

Nic dziwnego, że widownia przyjmuje sztukę salwami zdrowego beztroskiego śmiechu.

Treść sztuki i jej komizm udzieliły się i artystom, którzy zagrali swe role bez zarzutu. Bogucki doskonale odtworzył rolę pana młodego. Również Mroziński i Fijewski świetnie odegrali role kmiotków, stwarzając szereg komicznych sytuacji. Role kobiece nie nasuwają też zastrzeżeń. Obok Godlewskiej zwraca uwagę ciągle jeszcze doskonale tańcząca i śpiewająca Lucyna Messal, a dalej Sznerrówna, Makowska, Janowska i Bortnowska. Chór 4 asy i balet Wójcikowskiego dopełniają reszty.

To, że całość wypadła efektownie niemałą jest zasługą Stanisławy Perzanowskiej, jako reżyserki.

Dekoracje Gronowskiego naogół udane. Zastrzeżenie budzić może jedynie niezgodna z rzeczywistością dekoracja aktu trzeciego (placyk paryski), która w niczym nie przypomina tak charakterystycznych placyków stolicy Paryża, a ściślej mówiąc ich domów, które oznaczają się balustradami w oknach, sięgającymi prawie podłóg, żaluzjami i szaremi domami.



Sztuka ma zapewnione długotrwałe powodzenie.

Zwyczaje Wielkanocne

Do świąt Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy przywiązane są liczne zwyczaje tradycyjnie obchodzone zwłaszcza przez lud. Wiele z nich już zaginęło, inne zachowały się aż do naszych czasów. Omówimy tu niektóre z nich:

TOPIENIE I STRASZENIE JUDASZA

W wielu miejscowościach Polski, a głównie w żywieckim istnieje zwyczaj topienia w Wielką Środę tzw. „Judasza", czyli wielkiej kukły sporządzonej ze szmat, nienaturalnych rozmiarów. Judasza niosą chłopcy do rzeki, gdzie wśród śmiechu i drwin rzucają do wody.

W Wielkim Tygodniu po „zawiązaniu dzwonów" używa się tzw. klekotek, zwanych również kołatkami. Zrobione są one z drzewa sosnowego lub bukowego. W kurpiowskim np. w Wielki Czwartek i w Piątek chłopi przychodzą do kościoła, każdy ze swoją kołatką i robią straszny hałas w kościele. Nazywa się to „straszeniem Judasza".

WIELKI PIĄTEK

Wielki Piątek jest w wierzeniach naszego ludu „dniem czarownic". Jakoby w tym dniu — czarownice biorą gospodyniom szczyptę nawozu ze stajni i zanoszą do swoich, w tym celu, aby odebrać mleko cudzym krowom, a swoim przyczynić. Podkładają także zioła, które również mają odebrać krowom mleko, starają się też pożyczyć w tym dniu jakiś przedmiot. Istnieje też zwyczaj, że matka bije rózgą dzieci na pamiątkę biczowania Pana Jezusa.



Dyngus na wsi

Z Wielkim Piątkiem związany jest też zwyczaj wróżenia o zbiorach siana. Przysłowie ludowe mówi: „Gdy w Wielki Piątek mróz, to na górce siana wóz", gdyż spodziewać się należy obfitych deszczów. Wielu ogrodników sadzi w tym dniu drzewka na pamiątkę, że jak śmierć Pana Jezusa wydała obfite plony, tak i drzewka w tym dniu sadzone mają obficie rodzić.

DYNGUS I KUR

Plastyczne uzmysłowienie dramatu Męki Pańskiej i scen narodzenia Pana Jezusa za pomocą kościelnych widowisk religijnych, było dla Kościoła potężnym środkiem katechizacji ludu naszego. I chociaż później widowiska i zwyczaje te zostały przez Kościół zakazane, to jednak przeniosły się one do chat i tam odgrywały rolę czynnika, kojarzącego prastary świat pogański z nowym chrześcijańskim.

Najtypowszym tego rodzaju obrzędem jest dyngus, łączący pogański kult wody i święto budzącej się wiosny z chrześcijańskim kultem wody — odkupieniem przez Mękę Chrystusa i świętem Zmartwychwstania Pańskiego. Dyngus połączony z obnoszeniem żywego kura, ozdobionego różnymi kwiatami i lalkami posiada zabytkowe formy dawnych misterjów ludowych. Barwny opis „kurka" znajdujemy w „Chłopach" Reymonta (Wiosna t. III) i u Kolberga. Że jest to zwyczaj stary, potwierdza wiadomość znajdująca się w „opisie obyczajów i zwyczajów za panowania „Augusta III" przez Jędrzeja Kitowicza.

W wielu wsiach na Mazowszu chodzi „po dyngusie z kurkiem" dwunastu chłopców. Trzech muzykantów, siedmiu niosących kosze na podarki i kije do wybijania taktu podczas śpiewu, jedenasty zwie się „kogutkiem", gdyż wozi kogutka na wózku, a dwunasty jako „komendant".

Wysilają się przy tym, aby przepychem barw „kogutka" olśnić dziewczęta i zaimponować im.

Dyngusiarze przyszedłszy pod jakiś dom, pozdrawiają Pana Boga, a „komendant" zapytuje gospodarza, czy pozwoli wejść i śpiewać. Otrzymawszy pozwolenie wchodzą i zaczynają grać i śpiewać. Jeden z nich wozi wózek z „kogutkiem" po podłodze, przy czym dzwonek, umieszczony pod osią kół, dzwoni nieustannie. Jeśli w mieszkaniu nie ma młodych dziewcząt, lecz sami poważni gospodarze, wtedy dyngusiarze śpiewają nabożną pieśń wielkopostną. Gdy jednak w mieszkaniu znajdują się dziewczęta na wydaniu, nikną reminiscencje wielkopostne a ewangeliczny kur nabiera charakteru wybitnie świeckiego. Śpiewają wtedy:

„Leciały gołąbki, leciały i siwe,
Zaleciały uny na inną dziedzine.
Moi gołąbkowie, coście tam słyscli.
A słyseliśmy tam jedną nowinecke.
Trzech się braci siekło o jedną dziewecke.
A jednemu bratu kosulecką syła.
A drugiemu bratu konika wodziła,
A trzeciemu bratu sama miło była.
Panno moja, panno, co się z tobą stanie.
Pilnujze jednego, bo trzech nie dostanies,
A pannaby rada i tego i tego,
Wszyscy trzej odeśli wieczora jednego.
A panna w rozpacy, co to będzie z tego
Wcora ci trzech miała, dziś ani jednego.
A panna w załości, co wieczór, to mdleje
Widzis moja panno, co się z tobą dzieje".

(O. Kolberg Radomskie I)

Albo inną:

„A i wy matulu złózta po seś grosy,
Puścimy koguta do wasej kokosy.
Bo ten nas kogutek nienadarmo skocy,
Osiemnaście kurcąt odrazu wypłosy.
A i wy matecki przykażcie swym córom,
Żeby nie właziły do stodoły dziurom,
Cielentom po siano, krowom po zguniny,
Dyngus ci to, dyngus, pani gospodyni".

Piosence tej wtórują wstydliwe śmiechy dziewcząt, które starają się wymknąć do komory lub sieni. „Koguciarze" zagradzają im drogę laskami i kłują błyskawicznymi wypadami kolczastych „bocianów", robiąc popłoch w całym domu. Obdarowanych i odchodzących już „koguciarzy" oblewają dziewczęta znienacka wodą. Dyngusiarze bronią się sikawkami.

Obchód kurkowy nie odbywa się bez wódki, którą popijają „koguciarze", gdzie się dą. Czasami przebrawszy miarę, podchmieleni psotują. Np. w powiecie rawskim jest zwyczaj, że towarzysza, który spije się do utraty przytomności noszą w koszyku przywiązanym do żerdzi, celem ukarania go za opilstwo. Schodzą się dziewczęta i śmieją się, a „koguciarze" owego „kogutka" i śpiewają:

„Nas kogutek głośno pieje,
Wstajta dziewki do kądziele.
Jedna wstała raniuteńko
I naprzyndła ciniusińko,
Druga wstała jesce rani
I naprzyndła jesce ładni.
Trzecia wstała i dropie się:
— Moja matko, ozyńcie mie.
— Moja córko, ledwoś wstała
I juzbyś się zenić miała?"

(O. Kolberg Mazowsze)

Zwyczaj chodzenia z „kurem" trwa cały tydzień, to też chłopcy mają możność napatrzyć się gospodarce różnych dziewcząt w kilku wsiach. Gdy zaś któremu spodoba się w jakiej chacie dziewczyna, opuszcza „kurka", a sam zostaje przy „kokosy". Towarzysze zagrają mu ognistego marsza „na szczęście" i idą dalej, a on przy kieliszku z rodzicami dziewczyny gawędzi o gospodarstwie.

Chłopak taki zaczyna poważnie myśleć o pannie i niecierpliwie wyczekuje do św. Stanisława (8 maja), kiedy to wedle zwyczaju, dziewczyna daje do zrozumienia kawalerowi, że o nim poważnie myśli, przysyłając mu pół kopy „kraszanek" czyli „pisanek" w haftowanej chusteczce.

Czasami cała gromada pozostaje dłużej w gościnnym domu i po przekąsce muzyka gra oberka, dziewczęta tańczą z chłopakami, którzy podczas największej wrzawy tanecznej zachęcają się wzajemnie:

„A butamy, chłopaki, a butamy, butamy,
A jak się buty podrą, będziem cholewamy!"

Gdy podczas oblewania wodą dziewcząt, zabraknie chłopakom wody w sikawkach, wówczas np. w pow. brzezińskim chwytają garnki z mlekiem i leją domowników. A gdy gospodarz wypadnie za nimi z kijem, częstują go gradem jaj. Seweryn w „Materiałach" do kurka opisuje jak zemścili się „koguciarze" na pewnej niegościnnej gospodyni w Studziankach:

„Spostrzegłszy ją wśród gości i widzów, przypatrujących się zabawie wyprawianej na zakończenie „kurka", ujęli ją w silne ręce i wśród śmiechu zebranych zmusili ją usiąść kilkakrotnie w cebrzyku napełnionym wodą. Gdy na wrzaski kobiety nadbiegł mąż, objaśnili go, że mu się „baba zechlała" i po pijanemu wygaduje trzy po trzy".

Zwyczaj chodzenia z „kurkiem" tłumaczą sobie ludzie tym, że Chrystus powołał się na koguta, gdy zapowiadał zaparcie się Piotra.

Dziś te dawne zwyczaje ludowe zanikają. Nawet w miastach dawniej w Wielki Poniedziałek młode panny nie mogły pokazać się na ulicach w obawie przed dyngusem, lub jak niektórzy nazywają — śmigusem. Nawet pod ochroną groźnie wyglądającego ojca, nie zawsze było bezpiecznie wy[illegible] z domu.



Śmigus wg [illegible]

PISANKI

Do zwyczajów wielkanocnych należy też barwienie jajek, zwanych „pisankami". W niektórych miejscowościach rola pisanek ma nawet charakter erotyczny. Nie dziw też, że matki karcą młode córki „kreślące skorupki jaja": — „A do pacierza, nie do krasanek".

Na Huculszczyźnie uważają, że dziewczyna ciężko grzeszy, jeżeli zajmuje się pisankami podczas menstruacji. Kościół zwalczał więc ten pierwotny zwyczaj tam, gdzie miał on charakter erotyczny.

Synod diecezji poznańskiej w 1420 r. nakazał księżom w art. 34 — „Zabraniajcie, aby w drugie i trzecie święto Wielkanocne mężczyźni kobiet a kobiety mężczyzn nie odważyli się napastować o jaja".

Podobnie i inne zwyczaje jak wywoływanie grzechów dziewcząt, oblewanych podczas dyngusu, obijanie starszych kawalerów przez starsze kobiety — dowodzą, że pierwiastek erotyczny miał wielki wpływ na żywotność ludowych zwyczajów.

Marian Rowacz



Kłopoty wielkanocne wg [illegible]



Święcone we dworze



Święcone na wsi

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Kroki Rozwodowe

3.

(Ciąg dalszy)

Kobieta sędzia odczytała świadectwo lekarskie i wręczyła sekretarzowi siędzącemu na końcu stołu z poleceniem zaprotokółowania, że pozwana nie stawiła się z powodu choroby.

Wtedy kobieta adwokat wybuchnęła gniewem: — Znamy się na tym!... To jest gra na zwłokę! Pozwana stara się przeciągnąć sprawę, żeby utrudnić kroki rozwodowe mojemu klientowi, któremu zależy na pośpiechu.

Zacietrzewiona, skrzypiąc jak źle naoliwiona furtka rzucała złe spojrzenia w kierunku winowajcy czyli adwokata Orskiego, który ją przecież w dodatku ignorował jako kobietę, i dowodziła, że choroba pozwanej jest fikcją.

Sprawa toczyła się przy drzwiach zamkniętych i skrzypienie furtki w pustej sali prowokowało ostry i przykry rezonans. Przy tym było duszno zbierało się na burzę. Wszystko razem dawało się we znaki miedzianowłosej kobiecie za stołem, protokólantowi, Orskiemu, a nawet samemu Jasiowi, najbardziej zainteresowanemu w przemówieniu gorliwej obrończyni.

— Ta gra na zwłokę — skrzypiała furtka — jest bardzo przejrzysta! Zbliżają się ferie sądowe i sprawa ulegnie odroczeniu na parę miesięcy...

— Można temu łatwo zaradzić — przerwała kobieta sędzia, która była zapewne gotowa pójść na wszelkie ustępstwa, byle tylko uwolnić się od nieznośnego, skrzypiącego głosu adwokatki. — Wyznaczymy następną sesję pojednawczą za dziesięć dni, to znaczy, dwudziestego trzeciego czerwca o godzinie dziewiątej w tej samej sali.

— Świetnie! — skrzypnęła furtka tryumfująco.

Mecenas Orski, pokonany, strzepnął nerwowo pyłek z klapy marynarki. Nie wypadało mu krytykować decyzji sądu, ale nikt mu nie mógł zabronić wyrażenia pewnych zastrzeżeń. — Nie wiem — cedził z akcentem powątpiewania — czy moja klientka wyzdrowieje w tak krótkim czasie?

Na tłustej twarzy kobiety za stołem sędziowskim rozlała się fala czerwieni od podbródka aż pod miedziane włosy na skraju bombiastego czoła. — Niech pan mecenas jej doradzi, żeby lepiej wyzdrowiała!

Orski ukłonił się czołobitnie.

— Jestem wprawdzie doktorem praw, nie medycyny — tłumaczył z przesadną, szyderczą uniżonością — ale zastosuję się do życzenia sądu i będę doradzał mej klientce, żeby wyzdrowiała.

To rzekłszy ukłonił się z przesadną uniżonością raz jeszcze i opuścił salę sądową. W korytarzu, wymijając tryumfującą koleżankę rzucił przez zaciśnięte zęby: — Moja klientka jest uparta i chorowita. Czy nie lepiej zapłacić te dwieście kawałków za rozwód? Będzie prędzej!

— Co?... Jak?... — skrzypnęła furtka.

Huśtając z zadowoleniem jasną teczką ze świńskiej skóry mecenas Orski przyśpieszył kroku i zostawił oszołomioną adwokatkę daleko za sobą.

Rezultatem tej rozmowy był telefon pani mecenas do osoby, która finansowała sprawę rozwodową, czyli do właścicielki drogerii. — Czy pani wie coś o tym, że strona przeciwna żąda dwustu tysięcy za wyrażenie zgody na rozwód?

— Nic o tym nie wiem. Mój mąż, to jest, przepraszam, mój narzeczony był u jej adwokata, ale...

— Więc niech się pani zapyta narzeczonego, a potem proszę do mnie zadzwonić.

Pani Irena odłożyła słuchawkę. — Jasiu — zróciła się do narzeczonego — ty coś przede mną ukrywasz? Dlaczego mi nie powiedziałeś? Ach, więc to tak?... Powiedz szczerze, może ty nie chcesz rozwodu, może ci żal pierwszej żony?... W takim razie ja się usunę, ja ci nie będę przeszkodą...

Płacz naklesły w gardle nie pozwolił pani Irenie dokończyć: „do szczęścia".

Jaś strapiony pogładził się po rzadkim uwłosieniu na potylicy. — Nie, co znowu? Tylko zrozum, jakże ja ci to mogłem powiedzieć? Po prostu było mi wstyd... Taka wielka suma! Przysięgam ci, że nic innego!

Pani Irena z dramatycznym, zaobserwowanym kiedyś na filmie gestem wyciągniętych rąk rzuciła się Jasiowi na szyję. — Jasiu, jakiś ty delikatny!... Przepraszam!

Ze łzami, kapiącymi na kołnierz marynarki narzeczonego, z twarzą na jego ramieniu mówiła zduszonym głosem: — Ja bym ci nie tylko dwieście, trzysta... Ja bym ci pół miliona... Ja bym ci nieba przychyliła, gdybym mogła! Bo ja cię kocham, Jasiu!

Narzeczeni schronili się za jasną zieloną kotarę z nowoczesnych deseni figur geometrycznych... Gdy w kwadrans potem wszedł do sklepu klient, pani Irena ukazała się zza kotary, poprawiając włosy, zarumieniona, z błyszczącymi oczami.

Niebawem i Jaś wyszedł z pakamery.

Przechodząc koło kasy szepnął do pani Ireny nachylonej nad szufladą z pieniędzmi: — Wrócę za godzinę.

Ciemne przepaściste oczy pożegnały go spojrzeniem tkliwym i przerażonym zarazem, jakby szedł na front.

Nie śmiejcie się, proszę!... Dla Jasia było to gorsze niż wyjazd na front. Szedł on bowiem na rozmowę ze swoją pierwszą żoną, wojowniczą posiadaczką parasolki.

— A, raczyłeś jednak przyjść? — powitała go z przekąsem, który nie wróżył nic dobrego — Proszę cię, siadaj! Zaraz wrócę, tylko się trochę przypudruję. Nie myśl, że się „robię na bóstwo", żeby ci się podobać — wołała z sąsiedniego pokoju. — Broń Boże!... To tylko dla własnego dobrego samopoczucia. Bez pudru czułabym się jak bez sukienki. A i ty byś czuł się zażenowany, gdybyś mnie zobaczył teraz bez sukienki, co? Może nie?

Wstydliwy Jaś poczuł się straszliwie zakłopotany już samym prowokacyjnym i cynicznym pytaniem. — Co ta kobieta wygaduje?

Rozglądał się po mieszkaniu, w którym nie zmieniło się prawie nic od czasu, gdy wprowadzili się tu zaraz po ślubie, na miesiąc przed wybuchem wojny. W owalnym lustrze w ciemnej wnęce orzechowego kredensu odzwierciedlała się jego zaczerwieniona twarz na tle żółtej serwety na stole.

Za pierwszą bytnością tutaj po powrocie z obozu zauważył charakterystyczny nieporządek, wskazujący na obecność jakiegoś mężczyzny w mieszkaniu. Były to przybory do golenia na kredensie, buty z cholewami pod tapczanem, marynarka rozwieszona na oparciu krzesła, krawat na stole.

Ale tym razem w pokoju panował porządek, bez śladu zamieszkiwania tego innego, obcego mężczyzny.

— Mieszkasz sama? — zapytał niezręcznie i zaraz pożałował swego nieprzemyślanego pytania.

— Sama — odrzekła z tamtego pokoju nierozwiedziona jeszcze żona.— Jeżeli chcesz, możesz do mnie wrócić



Rys. Kazimierz Mann

Rozglądał się po mieszkaniu

Jaś doznał wrażenia, że zapada się z krzesłem pod podłogę jak operowy Mefisto opuszczający się łagodnie w czeluści piekielne na klapie wyciętej w deskach scenicznych.

— A to idiota ze mnie — pomyślał i uszczypnął się w rękę. Musiał jednak brnąć dalej. — No wiesz, sprawy już zaszły tak daleko — tłumaczył ostrożnie, myśląc jednocześnie: Wrócić? Nigdy! Przeciwnie, chciał połączyć się dozgonnym węzłem z Irenką, która była sentymentalna i delikatna i nigdy by nie powiedziała czegoś takiego wulgarnego jak Jadwiga o sukience.

Pamiętajcie, o żony, że nie dość jest dbać o czystą bieliznę, zacerowane skarpetki i smaczne obiady dla mężusia. Mężczyzna ma również potrzeby duchowe. Delikatność waszego wysłowienia jest osłodą pożycia małżeńskiego tak, jak wykwintny deser uzupełnieniem treściwego obiadu

— Coś ty powiedział? „Sprawy już zaszły tak daleko?" — zapytała groźnie pierwsza żona wchodząc przypudrowana do pokoju. — Zostałeś jej kochankiem?

Jaś wstał. — Ależ, moja droga...

— Nie przerywaj mi! — zagrzmiała basem Jadwiga z domu Kłopotowska. — Wszyscy mężczyźni jesteście jednakowi! Przysięgacie kobiecie miłość do grobowej deski, a za tydzień puszczacie ją kantem dla innej spódnicy!

Odsunęła z szurgotem krzesło, które jej stało na drodze, i obeszła wielkim krokiem stół. — Czemu nic nie mówisz?

— Przecież mi zabroniłaś? Prosiłaś, żebym ci nie przerywał.

— Więc odezwijże się teraz! Mów, pokrako! — rzuciła z gniewną czułością i przechodząc klapnęła go rubasznie po ciemieniu, co miało zastąpić pieszczotliwe głaśnięcie po głowie.

Jaś usiadł z powagą, bez pośpiechu przygładził nastroszone, rozczochrane przez pierwszą żonę włosy, opuścił ręce między kolana, zwiesił głowę i patrząc w podłogę oświadczył: — Nie poczuwam się w najmniejszym stopniu do winy. Gdy wróciłem z obozu, mieszkałaś już z innym mężczyzną.

— Ale teraz jestem znów sama! — replikowała szybko z właściwą kobietom niekonsekwencją.

— Cóż z tego, kiedy ja już nie jestem sam! — odparł Jaś spoglądając bojaźliwie na swą pierwszą żonę.

Ciemne pąsowe rumieńce przebiły się spod warstewki pudru na tłustych policzkach krewkiej niewiasty.

— Właśnie! — krzyknęła zaciskając pięście. — Wcale się nie starałeś, żeby mnie wyrwać z rąk tamtego draba! Wcale ci na mnie nie zależało! Zawinąś się i szast, prast! znalazłeś sobie inną babę! Kochający mąż tak nie postępuje! Kochający mąż rozumie, że w czasie jego nieobecności ktoś inny musi opiekować się jego żoną. Co ja miałam robić, biedna i opuszczona kobieta, kiedy ciebie wywieźli do obozu? Ale ciągle o tobie myślałam. Może tam już z niego zrobili mydło, szwaby przeklęte, myślałam sobie. A ile razy się myłam, tyle razy myślałam: — Boże drogi, może to mydło z mojego kochanego Jasia — i zalewałam się łzami.

Pierwsza żona wyjęła porywczo chusteczkę z torebki leżącej na oknie i przykładając chusteczkę do oczu wrzeszczała: — Ale tobie było pilno do innej. Nie zaprzeczaj! Nie zaprzeczaj! — ostrzegała, chociaż bynajmniej, nie miał zamiaru przeczyć.

— O, ja wiem, już ty umiesz być miły i czuły, jeśli tylko chcesz! Umiesz się podobać kobietom i wkraść im się do serca! I to mnie właśnie najbardziej boli... Ze wszystkiego te czułe słówka, umizgi, głaskanie po ręce i tak dalej, że wszystko to, co się należy mnie, twojej ślubnej żonie, że to ma teraz tamta wywloka, sklepikara! Gdy sobie przypomnę, jak mnie w kinie trzymałeś za rękę albo głaskałeś po ciemku moje kolano!...

Pąsowe rumieńce przebiły się znów spod warstewki pudru na tłustych policzkach. — Teraz pewnie tamtą trzymasz tak za rękę? Ty wstrętny bezwstydniku!

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

SEANS SPIRYTYSTYCZNY

Ilustr. Jerzy Srokowski



— Pani mówi, że wezwała Petrarkę, a nie Dantego.



— A może teraz powie nam, gdzie schowała biżuterię?



— Co to za nagły wyjazd, kolego?
— [illegible] na Marsa, żona za często robi seanse [illegible]

SKLEROZA

W ubiegłym tygodniu nagrodę w postaci książki **Piotra Choynowskiego pt. „Kuźnia"** otrzymał p. E. Kochański (Włochy k. Warszawy, ul. Jagiellońska 11—6) za nadesłanie wycinka z podręcznika T. M. Rusiecki — A. Zarzycki, „Arytmetyka z Geometrią" IV, w którym na str. 73 zadanie 7 czytamy:

„Gospodarz zasiał na swym polu 220 kg żyta i zegły. Przyjechało 13 furmanek, które zabrały 3.120 sztuk cegieł. Ile takich furmanek potrzeba do zwiezienia pozostałych cegieł?".

Autorzy też nie wiedzą, bo w chwili układania zadania cegły im spadły na głowy.

ZMIANA MAPY

„Gazeta Robotnicza" Nr 61 z dn. 2 marca br. podaje następującą depeszę PAPa!

WIZYTA POSŁA R.P. W KRAJACH PÓŁNOCNEJ AFRYKI

„Meksyk" (PAP). — Poseł R.P. w Meksyku Drohojowski zatrzymał się w drodze do Ekwadoru w stolicy Kolumbii — Bogocie. Poseł Drohojowski złożył wizytę prezydentowi Kolumbii Perezowi, podczas której w rozmowie uczestniczył również minister spraw zagranicznych Esgnerra".

Jak to się mapa zmieniła po ostatniej wojnie.

(nadesłała p Maria Solikówna z Opola).

TO NIE PLOTKA, TO FAKT

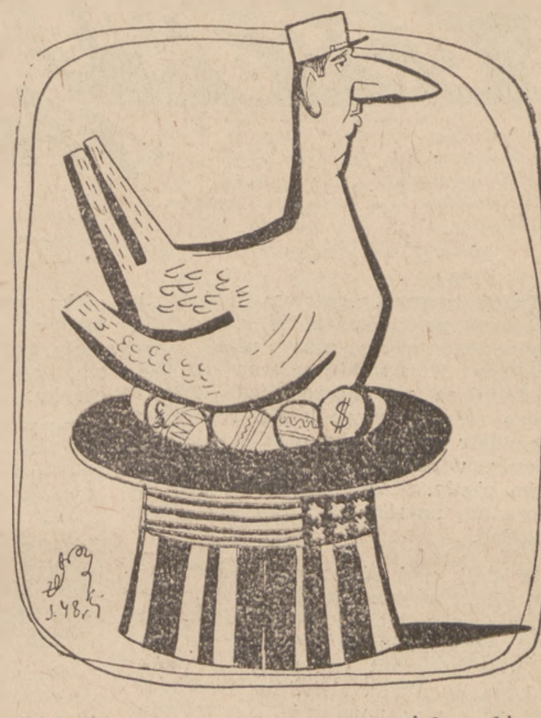
„Express Wieczorny" w Nr 66 z dn. 8 marca br. w rubryce „Ploteczki Filmowe" podaje:

„Film Polski chciał zrobić krótkometrażówkę na temat połowu łosia przez naszych rybaków. Niestety nasi filmowcy mieli pecha i w czasie specjalnej wyprawy poświęconej filmowaniu trafili na tzw. „Krótką falę". Rezultaty były bardzo smutne, gdyż operatorzy zajęli się inną operacją zupełnie nadprogramową. Ogółem filmu tym razem nie nakręcono i ekspedycja wróciła z powrotem na Hel, odwiedzając po drodze... Rygę" **(Kor)**

Nic dziwnego, że nasze filmy są tak słabe, skoro operatorzy szukają łosi nad Bałtykiem. Następna wyprawa na połów bizonów na Bałtyku napewno się uda.

(Nadesłał L. Rzepkiewicz z Katowic).

ZŁOTA KURKA



Rys. Julian Żebrowski

Stare dowcipy

KIEDY PÓJDĘ NA OBIAD

Dyrektor ludowego cyrku w Pradze, Trubka, szukał nowych atrakcji na wiosenny sezon. Raz po przedstawieniu przyszedł do niego jakiś młodzian i zaofiarował mu swoje usługi.

— Co pan umie?

— Zjem na jednym posiedzeniu 30 kurzych jajek, dwa gęsie i kilka kaczych... Mówią na mnie „jajczany król".

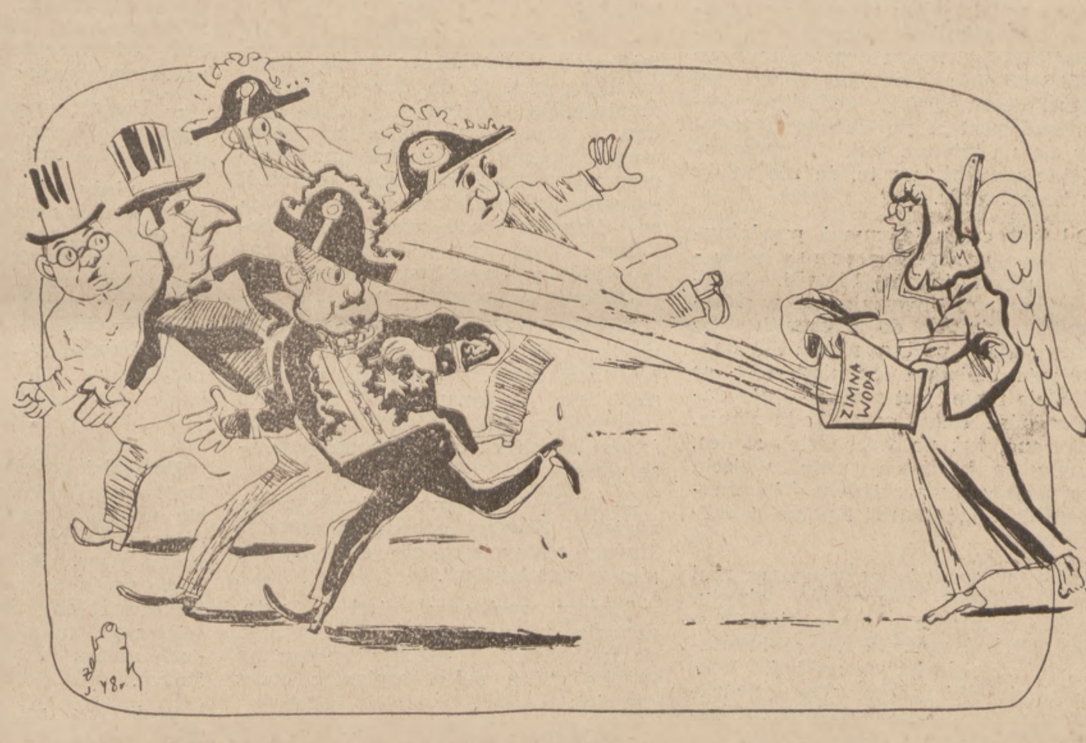
— Zadziwiająca liczba. Uprzedzam pana, że w niedzielę zamierzamy dawać cztery przedstawienia dziennie.

— Zgadzam się!

— A na wielkie święta chcielibyśmy dawać przedstawienia bez przerwy cały dzień.

— Oj to nie jest tak źle! Ale, kiedy do diabła, potem pójdę na obiad?

POTRZEBNY SMIGUS



Rys. Julian Żebrowski

Józef Bartosik

Bój „Pioruna" pod St. Malô

Dzień trzynasty czerwca 1944 roku dobiega powoli końca. W miarę jak słońce stacza się coraz niżej nad wzgórza Kornwalii srebrna dymka spowijająca szczyty roztacza dokoła niego różnokolorowe kręgi. Nad głową wiatr pędzi kłęby niskich, białych chmur, wymiatając resztki niepewnego ciepła. Pod wieczór podmuchy wzrastają na sile. Robi się dotkliwie chłodno.

W dali, nad sfalowaną powierzchnią zatoki majaczy wieża latarni. Wyrastając z niskich, ledwie widocznych skał, sama jedna na środku morza, kaleczy horyzont jak szpilka, ostro zadarta ku niebu. Niedaleko od niej srebrzą się w powietrzu trzy równo od siebie odległe balony zaporowe. Holują je traulery zajęte codzienną żmudną pracą oczyszczania z min dziesięciomilowego kanału, który stąd od latarni prowadzi wprost do bramy w sieciach wejściowych, rozstawionych przed portem.

Port Plymouth rozsiadł się w ujściu rzeki Tamoaze, w miejscu, gdzie zatoka wrzyna się głęboko pod urwisty, gęstą warstwą krzewów okryty brzeg. Szeroką redę oddziela od morza falochron w kształcie pół-łuku. W jednym miejscu biały, betonowy wał urywa się nagle, tworząc przerwę na wejście. Panuje nad nim rotunda ciemnego, masywnego fortu. Zbudowany półtora wieku temu dla obrony przed Napoleonem, wartuje on przy wejściu jak ponury cerber.

Sam środek redy zajmuje niewielka wyspa. Dokoła niej unoszą się na wodzie rzędy równomiernie porozstawianych beczek kotwicznych. Widziane z daleka sprawiają wrażenie misternej, czerwonej siatki rozpiętej nad rozlewiskiem. Oka jej tak są liczne, że mogłyby z łatwością pomieścić niemałą flotę. Tymczasem port świeci zupełną pustką. Jeszcze kilka dni temu reda zapchana była krążownikami, kontr-torpedowcami i całym mnóstwem desantowych statków o niezwykle dziwnych sylwetkach. Strome brzegi zatoki rozbrzmiewały od świtu do nocy echem gigantofonów, zapowiadających rozkazy we wszystkich narzeczach Północnej Ameryki.

Lecz pewnej nocy port nagle opustoszał; — okręty znikły wszystkie naraz. Pogodny czerwcowy świt zastał na redzie jeden zaoliwiony ropowiec, melancholijnie łukujący na kotwicy. Wstyd mu widocznie było, że tylko jego nie zabrano, bo schował się dyskretnie za wyspę. Jedynie w górze, nad portem po dawnemu kołysały się na wietrze setki balonów, obojętne zupełnie na to, że nie miały już kogo bronić.

Od tego czasu jedynymi, przelotnymi zresztą gośćmi w porcie są kontr-torpedowce Dziesiątej Flotylli. Zajęte operacjami inwazyjnymi w Normandii zachodzą do Plymouth po dwa, niekiedy po trzy naraz, dla uzupełnienia paliwa i amunicji, i — co może nie mniej jest ważne — dla dania załodze kilku godzin odprężenia. Dziś rano, tuż po wschodzie słońca, stanęły na beczkach przy wejściu dwa z nich: brytyjski dwu - kominowiec H.M.S. „Ashanti" i polski O.R.P. „Piorun".

„Piorun" sprawia na pierwszy rzut oka wrażenie wymarłego okrętu. Zwykle o tej porze pokład tętni życiem, słychać muzykę, widać krzątanie się wyjeżdżających na ląd. Lecz dzisiaj głośniki milczą. Oprócz służby nie widać na pokładzie żywej duszy. Dopiero po dłuższej chwili wyłania się z poza rufowej nadbudówki niska postać Bosmana okrętowego. Modry drelich roboczy jest ciasno zapięty pod szyją, głowę nakrywa prosto, arcy - przepisowo nasadzona czapka.

Zbliżając się do relingu bosman pochyla się. Pracowitym ruchem poprawia niedociśnięty węzeł na polerze. O krok dalej układa luźny koniec liny w przepisowe „słońce". Jeszcze dalej sprawdza kluby łodzi. Gdera przytym do siebie monotonnym wysoko nastrojonym głosem, który świętemu oburzeniu nadaje brzmienie kobiecego zrzędzenia.

Jak żyje nie widział jeszcze podobnie zaniedbanego okrętu. I tylu „krowich ogonów". Pożal się Boże tych nowoczesnych żeglarzy! Sama Admiralicja też nie lepiej się spisuje. Kto widział 13 wysyłać okręt w morze, zwłaszcza podczas wojny!

Przy trapie oparci o balustradę gawędzą wachtowi, otuleni w ciepłe płaszcze służbowe. Widać, że niezbyt biorą sobie do serca niepokojącą bądź - co - bądź obecność bosmana na pokładzie.

— „Pot ssany z załogi nie daje starej pijawce spać" — mówi goniec, młodszy z wachtowych, zerkając znacząco w stronę nadchodzącego. — „Jak taki hojrak, mógłby za człowieka na służbie postać, zamiast szwendać się za cielęcymi ogonami".

— „Krowimi, ty nędzo okrętowa" — denerwuje się drugi wachtowy głosem takim, jakby od ciągłego poprawiania nowicjusza brakowało mu już śliny w ustach. Jednocześnie odwraca się i opierając się łokciami o trap przygląda się w skupieniu dryfującej spokojnie za burtą blaszance. Przyciszony głos powoli cedzi słowa:

— Nie znasz, bracie, naszego Jakóbka! Wyranżerowany polityk! Odkąd tylko znaleźliśmy się w jednym dywizjonie z „Ashanti" wątroba przewraca się mu z zazdrości na widok świeżej farby „Anglika". Podczas ostatniej operacji ubzdurał sobie, że zaraz po powrocie do portu zabierze całą załogę do skrobania burt. Miarkujesz człowiecze! Ludzie padają ze zmęczenia, powieki zapałkami podpierają, byle do końca wachty wytrzymać. Dla tego starego garbusa rdza na burcie ważniejsza!

Głos mówiącego stał się jeszcze cichszy:

— Nic dziwnego, że gdy rano o piątej, w połowie zakotwiczenia przyszedł na pomost do dowódcy, stary przejechał się po nim w tę i spowrotem. „Rdza nie ucieknie, a załoga musi odpocząć" — rugnął na niego przy wszystkich, aż bosman przysiadł na zadzie. Teraz boczy się na dowódcę. Stary lis wie, że wódz wraca niedługo. Chce, żeby wiedział, że z całej załogi jeden jedyny bosman nie potrzebuje odpoczywać..."

Bosman zatrzymuje się naprzeciw wachtowych. Może podejrzewa, że o nim plotkowali. Wachtowi prostują się. Spod przymrużonych badawczo rzęs mierzy ich spojrzeniem małych świdrujących oczu. Bosman potrząsa głową:

— Macie się czemu za burtą przyglądać. Zamiast opowiadać głodne kawały schwycił by się jeden z drugim za skrobaczkę.

Starszy wachtowy otwiera usta, próbuje coś powiedzieć, lecz bosman go uprzedza. Pokazując palcem na czapkę gońca mówi sepleniąc coraz częściej:

— „Popraw orzełka. Wygląda jak by ci się za morze wybierał". Potem przenosząc wzrok z jednego płaszcza na drugi wydyma dolną wargę i dodaje z pogardą:

— Obatuchane to...

Resztę zdania przecina meldunek z pomostu. Przyłożywszy do ust mosiężną tubę sygnalista krzyczy na całe gardło, aż w opustoszałych nadbudówkach brzęczą blachy.

— Motorówka wraca!

Wachtowi rozbiegają się. Po chwili w drzwiach na rufie ukazuje się oficer służbowy. Na pokładzie, od dziobu goniec prowadzi wyrwanego z hamaka trębacza. Przecierając rękawem nabrzmiałe, zaspane oczy trębacz przykłada do ust sygnałówkę. Jeszcze chwila, rozlega się: „Baczność na prawą burtę!"

Metaliczny dźwięk hejnału biegnie po drzemiącej powierzchni redy, dosięga falochronu, odbija się od rotundy fortu. Przeciągłe echo powtarza granie czyste jak uderzenie mosiężnego dzwonu. Pod pokładem w iluminatorach chowa się gdzie niegdzie za pokrywą para ciekawych oczu.

Warkot motorówki przycicha nagle. Za rufą ślad torowy rozlewa się szerzej. Zadarty ku górze dziób opada na wodę, burząc dokoła siebie wały piany. Łódź zwalnia biegu. Słychać komendę sternika: — Przybij! Haki bosaków, przyciągają motorówkę do trapu. Rozlega się świst wachtowego gwizdka. Na platformie ukazuje się wysoka, szczupła sulwetka dowódcy.

Nie wiadomo, czy zrządził tak przypadek, czy umyślny plan, dość, że w chwili gdy dowódca wchodzi na górną platformę naprzeciw niego, dokładnie nawprost trapu stoi wyprężony na baczność bosman okrętowy.

Zdawałoby się, że dowódca nie mógł go nie zauważyć. A jednak bosman przysiągłby, że wzrok wodza umyślnie go pominął. — „Stary tylko udaje zaaferowanego" — pociesza się bosman. — Ale jeżeli go unika, to najlepszy dowód, że widocznie do serca wziął sobie poranną scenę. Tak, różnica zdań pomiędzy nimi nie była drobnostką. Nikt, nawet dowódca okrętu nie ma prawa lekceważyć sobie bosmańskiego zdania...

Wachtowy powtarza polecenia dowódcy, potem biegnie w stronę dziobowego pomieszczenia. Po chwili w głośnikach słychać charakterystyczne świszczenie, znak, że radiotechnik dmucha w mikrofon dla sprawdzenia, czy „sieć" działa. Rozlega się podwójny gwizdek. We wszystkich pomieszczeniach, kabinach, przedziałach, od pomostu do zenzy głośniki powtarzają zapowiedź:

— Uwaga, uwaga!... Gotowość maszyn na siódmą. Burta służbowa do podniesienia kutra. Uwaga, uwaga!...

Na plaży biegający samotnie za muszelkami chłopiec zatrzymuje się na chwilę i słucha. Słowa brzmią obco, niezrozumiale. Lecz dla dwunastu wyrwanych ze snu marynarzy „Pioruna" zapowiedź rozgłośni miała jasne, dobitne znaczenie: za godzinę wychodzą w morze na nową operację...

* *

Dochodzi godzina wpół do siódmej. Do kabiny dowódcy na rufie schodzą się na odprawę oficerowie. Powoli salon wypełnia się. Słychać przyciszony gwar. Kłęby dymu papierosowego snują się nad stołem w kierunku otwartych iluminatorów. Z zewiątrz przenika przez nie rzeźki oddech morza i smugi zachodzącego słońca.

W środku za stołem rozsiadł się wygodnie na kanapie mechanik okrętowy. W przeciwieństwie do innych oficerów, którzy mają na sobie zwykłe, codzienne mundury, mechanik przyszedł na odprawę w drelichu. Jakby dla podkreślenia, że człowiekowi maszyn złoto nie jest potrzebne wtedy, gdy mowa o operacji. Oblicze przyobleka bojowy nastrój; wysunięta do przodu szczęka i dłonie zawadiacko rozparte na kolanach dopełniają dziarskiego wyrazu. Od czasu do czasu mechanik chrząka głośno, a jego małe czarne oczy przebiegają nerwowo z jednego końca kabiny w drugi. Od święta koledzy nazywają go „madziarem", „ostatnim" nawet. Zato na codzień przylgnął do niego niewdzięczny, wulgarny przydomek „Gacio". Wprawdzie nie każdy podobny epitet zżyma się z równie świeżą energią, jednak nie wiele to pomaga.

Przy końcu stołu dowódca rozmawia z nawigacyjnym, młodym, zdolnym oficerem, znanym z tego, że okrągłą dobę może bez wysiłku przeleżeć na koi. Sam nazywa to „rozmyślaniem" i „pracą nad sobą", chociaż jego współlokatorzy zapatrują się bardziej sceptycznie na ten temat. Niektórzy z nich niedwuznacznie uśmiechają się gdy mówią o związku jaki z podobnymi wzniosłymi praktykami może posiadać szczelnie zaśrubowany iluminator i aura w kabinie tak gęsta, że mapy i książki — naprzekór odwiecznym prawom grawitacji — wiszą sobie spokojnie w powietrzu. Kiedyś komisarz okrętowy, starszy już pan i zamiłowany psycholog, orzekł, że tego rodzaju ćwiczenia mają niewątpliwie wpływ na łagodzenie usposobienia. Nic więc dziwnego, że koledzy ochrzcili owe kabinowe medytacje sympatyczną nazwą „leczenia Antosiowych oczek". Teraz, gdy pochylony nad sygnałami rozprawia z dowódcą, pukle gęstych kruczych włosów osłaniają jego szczupłą trójkątną twarz.

Na grodzi obok drzwi wisi mapa Kanału Angielskiego. Widać wydłużoną linię południowego wybrzeża Anglii i Francję od Boulogne do Brestu! Antek bierze do ręki cyrkiel i odmierza kilka odległości.

W pewnej chwili gwar cichnie. Z nieprzemakalnej, przezroczystej torby dowódca wyjmuje fajkę. Nabija ją powoli i zapala. Pyka raz, potem drugi. Robi to wolno, nie spiesząc się, jakby mu umyślnie zależało na przeciąganiu. Ręka spokojnie rozwiewa dym. Potem dowódca odwraca się i staje przed mapą. W zatłoczonej kabinie panuje teraz cisza jakby makiem siał. Przez otwarte iluminatory słychać plusk wody za burtą. Głodne mewy przekrzykują się nawzajem, wydziwiając widocznie nad kawałkiem chleba, wyrzuconym z kuchni. Nad głową stalowy pokład odmierza kroki wachtowego. Od czasu do czasu skrzypi przeciągle rozeschły trap.

Cybuch fajki przesuwa się po mapie i zatrzymuje w okolicy Cherbourg'a.

— Operacja w Normandii — mówi spokojnie dowódca — weszła w krytyczną fazę. Na wschodzie generał Montgomerry prowadzi zacięty bój o Caen. W zachodnim sektorze, u nasady półwyspu, na cyplu którego leży Cherbourg, Amerykanie natknęli się na huraganowe przeciw-natarcie niemieckich dywizji pancernych. Nie ulega wątpliwości, że nieprzyjaciel dąży do zepchnięcia Sojuszników za wszelką cenę spowrotem do morza.

Cybuch odrywa się na chwilę od mapy. Wzrok dowódcy przechodzi po zebranych.

— Dobrze wszyscy wiemy, coby to oznaczało: milion żołnierzy przypartych plecami do plaży, na nieprzyjacielskim brzegu... Moi panowie, na tych kilometrach normandzkiego brzegu ważą się losy wojny...

Z fajki pyka kłąb dymu. Oczy „Gacia" miotają błyskawice. Wachtowy przestał chodzić i mewy się uspokoiły. Tylko trap skrzypi rytmicznie dalej. Tymczasem dowódca powraca do mapy.

— Na morzu od samego rana wywiad lotniczy obserwował dzisiaj wzmożoną działalność nieprzyjaciela, szczególnie w rejonie wyspy Guernsey i Jersey oraz St. Malô. Admiralicja spodziewa się, że w nocy Niemcy dokonają wypadu, by przyjść z pomocą odciętemu od lądu Cherbourg'owi.

— W związku z tymi przewidywaniami „Piorun" i „Ashanti" mają dziś w nocy wykonać operację „Lasso". Istotna część tej operacji polega na patrolowaniu zagrożonego obszaru pomiędzy wyspami. Odkotwiczenie zostało tak obliczone, aby okręty znalazły się na pozycji wyjściowej o godzinie 23.45. Patrol potrwa do świtu.

— Zwracam uwagę Panów na to, że operacja nasza będzie się odbywała w zamkniętej przestrzeni, pod obstrzałem niemieckich baterii nadbrzeżnych oraz całkowicie w zasięgu nieprzyjacielskiego radaru. Posiadane przez nas informacje wskazują na to, że wody pomiędzy wyspami są częściowo zaminowane. Oczywiście dokładność tych informacji jest dość problematyczna ze względu na wyjątkowo silne prądy przypływowe.

Ręka z fajką osuwa się powoli wzdłuż mapy. Dowódca zatrzymuje wzrok na swym zastępcy, który siedzi tuż przy kotarze.

— Podczas przygotowania do boju proszę osobiście sprawdzić zamknięcie grodzi przez O. P. A.[1]

Skolei oczy wodza skierowują się ku mechanikowi:

— Do maszyn mam jedno przykazanie na dzisiejszą noc: żadnych iskier z komina!

„Gacio" podrywa się, łypie oczyma dokoła, potem opada spowrotem na kanapę i szybko rozpina kołnierz drelicha. Dowódca tymczasem kładzie rękę na ramieniu artylerzysty:

— „Guns",[2] dziś Pański koncert. Oczekujemy debiutowej symfonii. Za każdego **Elblinga** stawiam Panu szampana, za **Narwika** — dwa...

Twarz młodego oficera pokrywa się rumieńcem. Uśmiech i iskrzenie oczu świadczą o tysiącu uczuć jakie w tej chwili ogarniają artyleryjską duszę. Ale twardy, morski zakon znajduje dla uzewnętrznienia podobnego stanu jeden tylko wyraz w swym słowniku: — suche — „Tak jest". —

— Proszę uprzedzić obsady dział, że lotnictwo własne nie będzie czynne do świtu — kończy dygresję dowódca i powraca do mapy.

— W razie trudności na wycofanie się nie mamy co liczyć. Oba przejścia są bowiem pod zupełnym obstrzałem ciężkiej artylerii z lądu. Wobec tego proszę mieć wszystkie tajne dokumenty gotowe do natychmiastowego zniszczenia.

Okręt łukuje na beczce dość szybko. Widać to po wiązce promieni słonecznych jaka przesuwa się po mapie. Dowódca przysłania oczy, aby poprzez smugę dostrzec łącznikowego, który zajął miejsce w fotelu przy burcie. Wysoki brunet był w życiu cywilnym agentem wielkiej firmy mydlanej w Londynie. Gdy wojna wybuchła powołano go do rezerwy marynarki wojennej. Od trzech przeszło lat jest łącznikowym oficerem na polskich okrętach. Zniekształcony prawy policzek do dziś dnia świadczy o ranie jaką odniósł na „Garlandzie", podczas boju w drodze z konwojem do Murmańska. Dowódca zwraca się do niego po angielsku:

— Smith, will you take your suitcase ashore?... Now...?[3] Anglik podrywa się: Yi, Yi, Sir[4] i wychodzi. Kroki łącznikowego cichną za kotarą, gdy dowódca przechodzi do ostatniej części odprawy.

— Podczas dzisiejszej operacji dowodzenie 27 dywizjonem, czyli „Piorunem" i „Ashanti", powierzono mnie. Poraz pierwszy w historii Polak będzie dowodził w boju brytyjskim okrętem. Wiem, że nie potrzebuję Panom tłumaczyć, jaki dodatkowy obowiązek wkłada na nas ta niecodzienna okoliczność.

— I jeszcze jeden szczegół: dywizjon nasz będzie stanowił jedyne ubezpieczenie operacji normandzkiej od zachodu. Znając siły niemieckie skoncentrowane w Breście możemy sobie bez przesady powiedzieć, że przez tych dwanaście godzin chyba sam Atlas nie pozazdrościłby nam odpowiedzialności.

Nad fajką rozwija się kłąb fioletowego dymu, po nim drugi i trzeci. Cicho, jakby do siebie dowódca dodaje:

— Ale takich drobiazgów historia nie lubi nagość pamiętać.

Zdaje się, że nawigacyjny usłyszał te uwagę, bo kudłata czupryna raptownie drgnęła. Dowódca nie zostawia jednak czasu na refleksje. Tym samym powolnym głosem dodaje:

— Czy kto ma jakie zapytania?

Dokoła „Gacia" widać poruszenie. Usiłuje się poderwać z niskiej wygodnej kanapy. Z oczu błyszczy mu entuzjazm; otwiera usta. Widocznie świadom swej wielkiej misji chce dać upust wezbranej fali patriotycznych uczuć. Już się dźwiga ponad stół, gdy koledzy dyskretnie ściągają go spowrotem na kanapę. Słychać jęknięcie sprężyn. Czarne oczy miotają gromy. Po chwili nad stołem panuje znów dostojna cisza.

— W takim razie, to byłoby wszystko. Szczęść Boże Panom!

Za burtą słychać silnik pracujący na wolnych obrotach, czuć uderzenia kutra o platformę. Na trapie rozlegają się kroki gońca, znoszącego ciężką walizkę. Za nim, w granatowej gabardinie zamyka orszak łącznikowy. Po chwili kuter odbija i kieruje się w stronę lądu. Biało czerwona banderka znika za krawędzią wyspy.

— Nie powiem znowu, żeby mi się akurat na śmiech zbierało ile razy te papiery wywożą na ląd... — mówi goniec zacierając ręce. — Jakbym własną trumnę zamawiał...

Centrala sygnałów znajduje się bezpośrednio pod pomostem. W niej skupiają się główne nici świetlne, dźwiękowe i radiowe, jakie wiążą „Pioruna" ze światem. Rolę tę spełnia skromna, niewielka kabina. Pod zewnętrzną grodzią z której wystają klapy dwóch szczelnie zaśrubowanych iluminatorów, znajduje się ceratowa kanapa. Z boku, naprzeciw drzwi, stoją piętrami pomalowane na szaro różne aparaty radiowe. Gdzie niegdzie żarzy się dyskretne czerwone światełko. Na jednym z odbiorników stoi mikrofon.

Środkową część wewnętrznej grodzi zajmuje seria telefonów, oraz rząd kluczy radiowych. Nad kluczami widać kilka żarówek, jeszcze wyżej rozciąga się podwójna półka, wypełniona książkami. Wśród nich przyciąga uwagę gruba, czerwona, w ołów oprawiona księga sygnałowa. Obok leży kilka zeszytów z blankietami do notowania sygnałów.

Pod stołem, na podłodze widać żelazną kasetę, w której przechowywane są szyfry. Z góry od sufitu zwisa kilka błyszczących, mosiężnych rur głosowych. Kabinę wypełnia zapach wilgotnej ceraty zmieszany z wonią bakelitu rozgrzanych aparatów radiowych.

Przed jednym z odbiorników siedzi odwrócony do drzwi plecami radiotechnik służbowy. Strzałka na oświetlonej skali tkwi nieruchomo w miejscu, gdzie widnieje czerwony napis: „Fala podsłuchu". Widocznie w eterze nie dzieje się nic godnego uwagi, bo operator odłożył zeszyt, na tył głowy odsunął ciasny pałąk słuchawek i zagłębił się w czytaniu powieści. Tylko od czasu do czasu, nie odrywając wzroku od książki, pokręca gałkę odbiornika dla sprawdzenia dostrojenia.

Na chwilę robi się w kabinie ciemno. Umieszczony na drzwiach automatyczny wyłącznik, oznajmia, że ktoś wchodzi do środka. Radiotechnik ogląda się. Przez uchyloną kotarę wpada do kabiny wycie wiatru i świeży zimny powiew. Po chwili światło znowu się zapala.

Krępy silny mężczyzna zdejmuje wełniany szal, rozpina ciężki płaszcz wachtowy. Jest to Jarosz, szef sygnalistów „Pioruna". Stara, znoszona kominiarka osuwa się na tył łysiny. Stękając głośno szef opada na lepką, wilgotną kanapę.

Na zewnątrz w załamaniach pomostu i w sztagach gwiżdże i zawodzi wiatr tak silny, że w kabinie pomimo szczelnie zamkniętych drzwi, kotara się porusza. Co kilka sekund przebiega po okręcie przeciągłe drżenie, jedyny ślad tego, że „Piorun" jest w ruchu, i że ostry dziób sunie przez ciemną przestrzeń morza z ogromną szybkością.

Poprzez wycie wiatru słychać urywany klekot metalowych żaluzji — znak, że reflektor sygnałowy pracuje. Co kilka uderzeń nadawanie ustaje na chwilę. Słowo po słowie ktoś skanduje powoli z trudem treść depeszy. Wyrazy brzmią obco, nie po polsku. Wymowa jest niepewna. Sygnalista krzyczy na całe gardło by przegłuszyć wycie wiatru.

Jarosz nasłuchuje uważnie. Przed minutą otrzymał sygnał do nadania na „Ashanti". Dowódca powiedział, że sygnał jest pilny. Kto wie, może Jarosz powinien sam go był nadać. Dawno byłoby już po krzyku. Lecz z drugiej strony kiedy, jak właśnie nie teraz nowicjusze mają mieć rzeczywistą zaprawę. Szkolenie ich jest dla Jarcsza szczególnie bliskim sercu obowiązkiem. Szef podciąga cholewę jednego buta, potem drugiego — poprawia kominiarkę. Jeżeli kanalie za tną się, natychmiast wyskoczy i sam nada resztę...

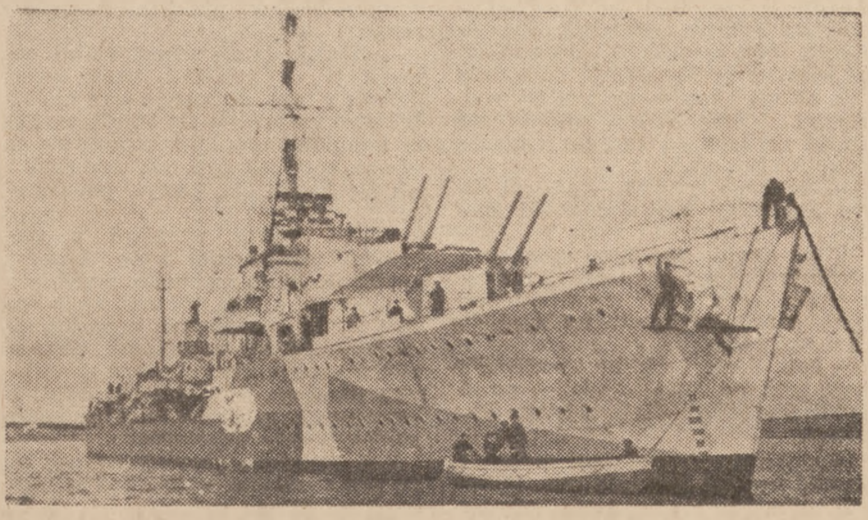
Scena rozgrywająca się za grodzią maluje się przed szefoskimi oczyma w najdrobniejszych szczegółach. W rogu pomostu na krawędzi podwyższenia jeden z sygnalistów szamoce się z olbrzymim bębnem reflektora, celując strzałką na rufę w miejsce, gdzie od czasu do czasu zapala się dyskretne światełko, świadczące o tym, że „Ashanti" czyta i rozumie treść depeszy.

Oczyma duszy Jarosz śledzi drugiego sygnalistę, który chowając głowę za blaszany występ Oerlikona przy świetle nikłej latarki odczytuje z mo krego blankietu słowo po słowie. Najpierw sylabizuje je półgłosem, sam dla siebie, potem wystawiając głowę w kierunku nadającego, krzyczy ile mu tchu staje.

— Co...? — Powtórz...! — domaga się tamten raz po razie. Wówczas czytający przykłada twarz do jego kaptura i wrzeszczy wprost do ucha. Słony rękaw ociera strugi łez, wyciskane przez wichurę.

Wycie wiatru wzmaga się nagle. Jarosz jest pewny, że nowy szkwał przechodzi nad okrętem. Klepanie żaluzji ustaje na dłuższą chwilę. Szef jednym susem rzuca się ku kotarze, by wyskoczyć na skrzydło pomostu. Lecz nie, w chwili gdy chwyta za klamkę, żaluzje znowu się odzywają. Westchnienie ulgi podnosi szefoską pierś. Ostatecznie, jeszcze trzy lata temu nikt z tych chłopców słowka jednego po angielsku nie rozumiał...

— From Piorun to Ashanti.. Intend proce-e-e-d pozyszyn...[5] — recytuje fonetycznie zachrypnięty głos za grodzią. Z treści depeszy wynika, że dowódca jest przygotowany na ciężką walkę. — Is that quite clear?[6] — **brzmią ostatnie słowa sygnału.**



O.R.P. Piorun na kotwicy. Mycie burty. (zdjęcie autora)

Wzrok szefa przesuwa się po strzał kach przekaźników. Wszystkie stoją na zero. Gdzieś na dole, w centralach, radiostacjach, radarach, w podsłuchu siedzą operatorzy ze słuchawkami na uszach, tak jak ten radzik tutaj w sygnałowej. Podgrzane aparaty czekają na włączenie. Tymczasem zaś nawet przekaźnik logu, którego tykanie roz lega się normalnie przez gródź z sąsiedniej kabiny, przestał pracować. Martwa cisza zawiała nad okrętem i dokoła niego pomimo wyjącego wiatru i piany walącej z pod dziobu. „27 Dywizjon" skrada się ku nieprzyjacielskiemu brzegowi bez szelestu.

— Nie mają prawa nas wykryć, kanalie... — myśli półgłosem Jarosz, któ ry nagle uczuł, że jakieś nieuchronne, żądne krwi przeznaczenie pędzi ku sobie poprzez ciemności ich i nieprzyjaciela, ile tylko pary starczy w turbinach.

Sygnaliści nadają ostatnią grupę liter. Jarosz odsuwa kotarę i wychodzi na zewnątrz. W korytarzyku napotyka młodszego sygnalistę.

— Panie szefie, tak się łatwo mówi — nadajcie sygnał! — jak tu ciemno jak u murzyna pod kocem. Woda leje się ciurkiem na blankiet. Gardło można zedrzeć, a tamten i tak nic nie słyszy... Żeby to jeszcze po polsku, ale ten heretycki język...

Jarosz zatrzymuje się w wyjściu, prowadzącym na skrzydło pomostu. Wiatr hula na całego. Na zachmurzonym niebie nie widać ani jednej gwiazdy. Poprzez wycie wiatru ucho Jarosza chwyta powolny, rytmiczny odgłos chrapania. Naprzeciw niego, oparty o gródź i otulony w ciepły, nieprzemakalny płaszcz drzemie Oerlikonowiec. Telefon schował pod klapę, kabel przerzucił przez osłonę, by nie był w drodze i nieczuły na wiatr i wilgoć, uciął sobie drzemkę na stojąco. Należy on do tych, którzy potrafią spać w każdej pozycji. Podobno kiedyś koledzy podcięli mu sznury hamaka w głowach. Nie obudził się nawet, i resztę nocy przespał opierając się ciemieniem o podłogę.

Fala świętego oburzenia wezbrała szefoską wątrobą. Jarosz już zaciska pięść, zamierzając się do „sierpowego", gdy w tym nad drzwiami odzywa się buczek i skrzeczy przeraźliwie. Szef podbiega do tuby i przykłada ucho do zimnego, mokrego mosiądzu. Miękki głos nawigacyjnego melduje:

— Trawers boi ZZ. Czas na zwrot.

Jarosz przeskakuje wodoszczelny, wysoki próg i wraca do centrali. Gdy zamyka drzwi, plecy radiotechnika pochylają się głębiej niż zwykle. W przegródkach czerwonego formularza ołówek notuje szybko rzędy liter. Z twarzy operatora bije intensywne skupienie. Szef nachyla się nad nim i przez ramię czyta niezrozumiały wyraz, powtarzający się na blankiecie raz po razie. „Z-E-A-N-D-R-E... Z-E-A-N-D-R-E...", „Transmisja jest bardzo silna. Słuchawki brzęczą tak głośno, że Jarosz sam bez trudności czyta litery. „Siedmio-literowy szyfr" — myśli — tylko Niemcy takiego używają... Muszą być piekielnie blisko".

Nagle transmisja się urywa.

Dowódca ze spokojem przyjmuje meldunek o obecności nieprzyjaciela. W tubie głosowej panuje przez chwilę cisza, potem znowu słychać głos dowódcy:

— Włączyć radary...

Szef naciska kominiarkę na czoło i mocniej dopina pasa na płaszczu. Czuje, że gdzieś na zewnątrz wśród ciemnej, wietrznej nocy stało się coś niuniknionego. Miejsce jego jest odtąd na pomoście. Wychodząc z kabiny Jarosz rzuca okiem na okratowaną tarczę nad drzwiami: — na wielkim nawigacyjnym zegarze dochodzi północ.

Józef Bartosik

OBJAŚNIENIA:

1) O. P. A. — Obrona Przeciw-Awaryjna okrętu.

2) Guns — po ang. działa. W języku okrętowym przydomek oficera artylerii.

3) Może zabierze Pan teraz swą walizkę na ląd.

4) Tak jest.

5) Zamierzam osiągnąć pozycję.

6) Czy to jest dla was zupełnie jasne?

ZUZANNA RABSKA

WESELE U BARYCZKOW

Pan Nikodem raniutko wyczyścił połatane buty, tak starannie jak na to pozwalała jedna ręka, wytrzepał przez okno kapotę, i zczesał z czoła siwą czuprynę. Przejrzawszy się w zbitym lusterku córki, uśmiechnął się z zadowoleniem do swego obrośniętego oblicza.

— Tata jak widzę szykuje się na bal! — zaśmiała się panna Agata, pokazując spróchniałe zęby

Stary zecer wyprostował się jak żołnierz na baczność.

— A żebyś wiedziała, że na bal! U Baryczków dziś weselisko. Trza przyzwoicie wyglądać! Nie bój się Agatka! Wstydu ci ojciec nie zrobi! Patałachem nie byłem i nie będę!

Panna Agata wzruszyła ramionami. Znowu starego „chwyciło", znowu przywidziały mu się brednie nie mające nic wspólnego z rzeczywistością. Wesele u Baryczków! Słyszane to rzeczy teraz, kiedy Stare Miasto leży w gruzach! Na rozmowę nie było czasu. Dochodziła ósma, musiała się spieszyć do fabryki.

— A niech tam tata za wiele nie pije na tym weselisku! — zawołała już ze schodów.

Zatrzymała się w tym miejscu, gdzie była w klatce schodowej wyrwa od bomby i trzeba było ostrożnie stąpać po gruzach i przeskakiwać przez dziury. Czy można zostawić starego w takim stanie? A jeśli rzeczywiście polezie Bóg wie dokąd, zamiast o dziewiątej otworzyć budkę i spokojnie sprzedawać papierosy? Mimo to zeszła żwawo na dół, uspakajając swoje sumienie, iż przecież nie raz przewidziały się staremu zecerowi rzeczy zgoła nieistniejące, fantastyczne i dziwaczne, od czasu, gdy siedzieli miesiąc cały w piwnicy, a kamienica trzęsła się od wybuchów bomb. To prawda, gadał nieraz od rzeczy, ale mógł jeszcze pracować, umiał dogodzić klientom, kupującym w budce papierosy i dość zręcznie podsuwał towar, posługując się zesztywniałymi palcami lewej ręki. Mylił się rzadko, wydając resztę, był uprzejmy i punktualny w otwieraniu i zamykaniu budki. Ludziom żal było inwalidy, pomagali mu odliczać papierosy i pieniądze. Zaledwie kilka razy nabrali go na niewielkie sumy. Stary nie był dla nikogo niebezpieczny, a można się było uśmiać, gdy z humorem opowiadał niestworzone rzeczy o Starym Mieście, gdzie w pobliżu drukarni mieszkał z córką przez lat czterdzieści. Znając tam każdego człowieka, każdy mur, każdy zaułek, każdą latarnię niemal każdą fli zę chodnika.

Tam właśnie skierował swe kroki. Na placu minął zamkniętą budkę, przed którą nie przystanął... Po prostu wcale jej nie zobaczył. Miał przed oczami inne obrazy, a w głowie inne myśli i zamiary... Przyspieszył kroku. Zanim się tam dostanie postanowił zajść do pana Marcina, który miał niegdyś warsztat szewski w kamienicy na rynku staromiejskim, w sekrecie pisał wiersze i uwielbiał ludzi, składających rymy o starej Warszawie.

Pan Nikodem znał wiersze szewca na pamięć, ale zawsze chętnie ich słuchał. Przy tej okazji można było nieraz napić się dobrego winka z omszałej butli, którą pan Marcin wyciągał z za szafy i pogadać o dawnej Warszawie, takiej, jaka żyła w ich ubogiej, ale serdecznej wyobraźni.

Tym razem spieszył się do pana Marcina, by go namówić, aby z nim razem udał się na wesele. Będzie im raźniej we dwóch!

Wygramolił się na facjatę uratowanej kamieniczki na Freta, w której szewc obecnie mieszkał i pracował i serdecznie powitał dawnego sąsiada, informując go odrazu o swych zamiarach.

Pan Marcin o weselisku nie słyszał, w ogóle nie wiele słyszał z tego co do niego mówiono, miał bowiem od huku bomb słuch mocno przytępiony.

— Baryczkowie wydają córkę za młodego Dianotta! — huknął mu w samo ucho pan Nikodem.

Pan Marcin dosłyszał ostatnie słowo.

— Chyba Dzianota! — poprawił z naciskiem. Słyszał dużo o rynku i jego mieszkańcach od pana Or-Ota, który przychodził z Kanonii, by zamówić zelówki i lubił ucinać w warsztacie dłuższe pogawędki. — Rodzina Gianottów przybyła z Włoch i z czasem zrobili się z nich Dzianotowie.

— Niech i tak będzie, — zgodził się pan Nikodem. No, zbierajcie się towarzyszu, a szybko! — zakrzyczał głośno, by pan Marcin usłyszał i zrozumiał — gotowi wysączyć z gąsiorków winko, zanim przyjdziemy!

— Narazie przetrącimy u mnie! — oświadczył gościnny szewc. Postawił na stole pękatą butlę miodu, którą szczęśliwie uratował z piwnicy pod branzlami skór. Był to szlachetny miód od Fukiera. Miłośnik Starego Miasta, pan Gomulicki, który mieszkał również na Kanoniach „w sąsiedztwie nieba", bardzo go niegdyś wychwalał. Obok butelki zjawiła się lampki nagrobne. Innych szklanic szewc nie posiadał.

— Dla kogo trzecia? — zdziwił się pan Nikodem, popijając słodki trunek.

W tej chwili do izby wsunął się młody mężczyzna o posępnej twarzy w aksamitnym, przekrzywionym berecie, z fajką w zębach i szkicownikiem pod pachą.

— Pan Jacek, który uwiecznia nasze kochane Stare Miasto! — przedstawił gospodarz. Tęgi z niego Pacykarz.

Młodzieniec uścisnął ręce szewca i zecera, zerknął łakomie na butelkę, zasiadł przy stole i nie czekając na zachętę, nalał sobie pełną lampkę bursztynowego płynu.

— Za zdrowie...

— ...młodej pary Dzianotów — dokończył pan Nikodem, wychylając lampkę do dna.

Malarz nic na to nie odpowiedział i nie żądał wyjaśnień. Zaabsorbowany był sobą i swymi pracami. Otworzył szkicownik i przewracał w milczeniu karty.

— O, kościół Panny Marii na Nowem Mieście! Krzywe Koło! Kanonia! Katedra Świętojańska! Gołębia, Piekiełko! — wykrzykiwał uradowany pan Marcin, wpatrzony z panem Nikodemem w migające karty szkicownika. Że też pan mógł odrysować te domy i kościoły, które już nie istnieją! Jak pan to zrobił, mistrzu kochany?

— Narysowałem je w roku 1940 i 1941 wtedy, gdy jeszcze istniały, — odpowiedział skromnie pan Jacek — obecnie niosę je na sprzedaż, bo przecież z czegoś trzeba żyć.

— Oczywiście, — zgodził się zecer. Podobno nawet ten towar dobrze idzie!

Gdy na karcie szkicownika ukazał się rynek Starego Miasta z wąskimi kamieniczkami i łamaną linią dachów, pan Nikodem położył palec na kamienicy z wystającą ponad szereg dachów oszkloną przybudówką.

— To tu! — oznajmił uroczyście. Mam nadzieję, że pan Jacek pójdzie w naszej kompanii na weselisko? Pociągniemy tam węgrzyna, że ha! Niecodzień stary Baryczka wydaje zamąż córkę!

Wyraz twarzy malarza stał się jeszcze bardziej posępny.

— Tam już nic nie ma — odezwał się głucho. Stos gruzów — nic więcej. Jeśli kto wyprawia wesela, to jedynie szczury i myszy!

— Nieprawda! — zawołał z ogniem pan Nikodem. — U Baryczków wszystko jest jak było, nawet może wspanialsze! Izby z marmurowemi kominkami i błyszczącymi posadzkami, na ścianach piękne obrazy i jedwabne materie, w kredensach cienkie szkło kolorowa porcelana, stare srebra.. Stoły zastawione mięsiwem i butelkami... Panna młoda w atłasowej sukni, w gorseciku z brylantowymi guzikami, w złotej siatce na włosach. Widziałem taki obraz... Pan młody w kontuszu, pasem złocistym przepasany... Kapela gra... Za chwilę rozpocznie się taniec.

— Baj, baju — powiedział malarz. Nawet gołębie z rynku pouciekały, bo nie mają co jeść. Plecie pan trzy po trzy...

— To pan plecie nie ja!

Od słowa do słowa posprzeczali się. Każdy zażarcie obstawał przy swoim: stary zecer, że Rynek żyje, malarz, że jest ruiną. Pan Marcin słyszał podniesione głosy, ale nie rozumiał o co im idzie. Zaczął się denerwować i dogadywać swoim gościom. Dopiero gdy malarz sięgnął do głębokiej kieszeni i wydobył z niej butelkę gorzałki, wypogodziło się jego oblicze. Pan Nikodem odniósł się do tego faktu z niemniejszym uznaniem. Pili z wielkim zapałem już bez gniewu i urazy, a zawsze z sentymentem dla starej Warszawy.

— Gdyby był z nami pan Or-Ot, albo pan Gomulicki, ho, ho, usłyszelibyśmy coś ciekawego o Baryczkach!— odezwał się w pewnym momencie szewc.

— Nic nie da się więcej o nich powiedzieć! — mruknął stary zecer, dotknięty tym, że relacje jego nie były wystarczające. — Za chwilę wszyscy tam pójdziemy i przekonacie się na własne oczy jak żyli, jak mieszkali i jak się bawili ci... patry... patrycjusze...

Ostatni wyraz wymówił z wahaniem, przypomniał sobie bowiem awanturę, która wybuchła przed laty w drukarni z tego powodu, że w noweli złożył: patrymusze, a po korekcie poprawił na: patrykusze... Gdy są czyli gorzałkę, malarz zbiegł do sklepiku po drugą butelkę i pili dalej, to weseląc się, to wzdychając, w miarę jak napływały wspomnienia.

Pan Nikodem, prowadzony pod rękę przez malarza wrócił pod wieczór do domu zalany w sztok. Runął na łóżko, nie słysząc, a może udając, że nie słyszy gniewnych wymówek panny Agaty.

— Gdzie tata się zawieruszył — no gdzie? — wołała rozzłoszczona stara panna. — Budka była dziś przez cały dzień zamknięta. Murarze remontując domy na placu, mówili, że taty nie widzieli na oczy? — No, może się nareszcie dowiem, gdzie się odbywała wasza hulanka? — zwróciła się do malarza.

— Pan Jacek nie odpowiedział. Wolał rozindyczonej kobiecie zejść z oczu. Ukłonił się nisko, aksamitnym beretem zmiatając podłogę i wycofał się chyłkiem z izby. Wtedy dopiero panna Agata rozpuściła na dobre język:

— Wstyd! Wstyd! — wołała. — Nie ma tata sumienia, żeby hulać po całych dniach i doprowadzić się do takiego stanu!... Przyprowadza mi jakiegoś pętaka, który nie raczy odpowiadać na pytania. Coraz lepiej!!! Więc się nie dowiem, gdzie tata był z tym cudakiem?

— Gdzie byłem?! Toś już zapomniała co ci rano mówiłem? Krótką masz pamięć Agatko! U Baryczków byliśmy... na weselisku... Trochę tam było zbyt dużo tego miodu i gorzałki... Wiesz, że mam słabą głowę! Ot i cała tajemnica. A teraz daj mi się przespać, bom okrutnie zmordowany.

Panna Agatka otworzyła usta, aby coś powiedzieć i zaniemówiła.

Stary zecer przymknął uchyloną powiekę i zapadając powoli w sen, powtarzał cichym szeptem, który był właściwie bełkotem:

— U Baryczków... na weselisku... popiło się... potańcowało z pannami... A, co? Może nie wolno staremu potańcować?... Panienki jak kwiecie... jak bukiet róż... — zaśpiewał ochryple, na nutę staroświeckiego drabanta. — Po chwili głośno chrapał.

Panna Agata nie ruszała się z miejsca. Patrzyła w osłupieniu na śpiącego starca. Czyżby? Bo gdzie mógł być — no gdzie?

Naraz doznała dziwnego wzruszenia. Staropanieńską jej pierś wypełniło uczucie żalu. Ojciec przeżył to, czego jej nie dane było nigdy przeżyć. Czy w jednostajnym życiu między pracownią kapeluszy, przepełnionym tramwajem i pitraszeniem w domu marnej strawy, przy akompaniamencie narzekań gderliwego ojca, było miejsce na

(Dokończenie na stronie 22)

Jadwiga Łuszczewska (Deotyma)

PRZELOT HUSSARZY

ŚPIEW 18

Tu król od oka odjął perspektywę,
I Matczyńskiego wezwawszy zaczyna:
„— E... dotąd była szwabska pukanina,
„Teraz dopiero nastanie prawdziwe
„Spektaklum wojny, według programatu
„Szczeropolskiego. Chciałbym ja też światu,
„Choć raz pokazać co potrafią nasi?
„Niech Messieurs Niemcy pozachodzą w głowy.
„Zrobimy taki majstersztyk wojskowy,
„Że zbledną Leonidasi.
„Rzecz będzie trudna. Kiedy myślę o niej,
„To mnie samego aż frisson przenika.
„Rzecz ryzykowna, ale bez ryzyka.
„Nikt panny Glorii w biegu nie dogoni
„Trza wziąść szaleńców bez trwogi ni troski.
„Kogo tu wybrać? A już wiem! Zbierzchowski,
„To lew! I wszyscy tam z sercem jednakiem
„Widzisz ich? Stoją w parowie jak święta,
„Pod królewicza Aleksandra znakiem.
„Hej, wołać sam Rezydenta!"

Wnet się do króla z pokłonem pomyka.
Pan Kożuchowski, cały w skrzącej blasze.
Piękny jak Tankred. A król: — „Biegaj wasze,
„Sprowadź mi duchem pana pułkownika,
„Niech z całą swoją chorągwią tu stanie".
Rezydent leci. Robi się łyskanie.
Jedzie do króla chorągiew przemożna.
Wszyscy srebrzyści, od słońca tak jaśni,
Że oczu na nich zatrzymać nie można
I jak tu nie wierzyć baśni?
Od wieków całych, gdy żar na kominie,
Pełga i trzaska, wzrok i słuch mami,
Prządki gadały o takiej krainie,
W której mieszkają ludzie ze skrzydłami.
Przez wieki z wiarą tej bajki słuchano,
Dziewki z tą wizją wstawały co rano,
Aż się i znalazł kraj tego mamidła.
Wróżbiarką byłaś, o prządko zuchwała!
Nasz Polski Hussarz do bark przypiął skrzydła,
I bajka prawdą się stała.

Dwustu ich było, po stu, w każdym rzędzie.
Wszyscy na koniach maści jednakowej,
Na polskich siwkach. Konie jak łabędzie,
Z trójbarwistymi piórami u głowy.
Przodem wysunion bił w oczy najświetniejł,
Zygmunt Zbierzchowski, mąż czterdziestoletni,
Pan Podkomorzy Łomżyński, najczystsza
Postać Mazura co nie umrze w łóżku.
Przy jego boku wisiał na łańcuszku,
Złoty buzdygan Rotmistrza.
Nos orli. Czoło jak tablica z głazu.
Brwi wywinięte w dwa czarne przeguby.
Błysk oka groźny. (Niekiedy i luby).
Wargi złożone we młot, do rozkazu.
Wąs kruczy, gęsty, opada w dwa kłęby.
A gdy pan gniewny, skrzą się białe zęby.
Zbroica leży na nim jak ulana.
W kirysie, słońce jak w lustrze się pali
Nagolenniki świecą po kolana.
Obucie nawet ze stali.

Broni mu nie brak. W olstrach pistolety.
U nogi koncerz, a pod ręką czekan.
U boku tasak, złotem ponasiekan.
I szabla zgięta jak płomień komety.
A groza wojny nie idzie bez wdzięku.
Nawet przepychu, przy cuglach, w łęku,
Na każdej taśmie, u każdej nasady
Czerwiennym żarem płoną karbunkuły.
Zda się, że dawne bojów jego ślady.
Kroplami krwi go zasnuły!
Nad czołem świeci bezprzyłbiczny, niski,
Kask. Na nim złota figurka Pegaza,
Lotnym poskokiem wyfruwa z żelaza.
A jeszcze wyżej, niby dwa wytryski.
Na srebrnych prętach przegięte nad głową
Z poza bark biją dwa skrzydła orłowe
Przez ramię brodźcem rzucona pantera.
Ku lewej ręce łbem czarnym przeważa.
Prawa jest wolna, bo na niej się wspiera.
Kopja, kochanka Hussarza.

Za swym Rotmistrzem stoją towarzysze.
Sto świetnych zbroic. U hełmów sto godeł.
Na dwustu skrzydłach wietrzyk się kołysze.
Tysiąc klejnotów świeci z uzd i siodeł.
Sto kopij miga niby złota krata.
Przez którą stado proporców przelata.
A jeszcze wyżej zwisł na kształt powały.
Sztandar ogromny, z dwu pól, ze dwuch tkanek
Czarny i żółty, jak Noc i Poranek.
Na obu siadł Orzeł Biały.
Sobieski znowu podniósł perspektywę,
I popatrzywszy, rzekł do Pana Marka:
— „Coś wyskoczyło tam w górę, jak żywe
„Une chose rouge, pewnie bojowa kotarka".
Już też Pułkownik stał przed królem Janem
I pokłoniwszy się w pas buzdyganem,
Przemówił: „Otom ja jest z Pańskim znakiem,
„Czekam dalszego ordynansu". Przyczem,
Cały w spojrzeniu, ach Boże i jakiem!
Pasł oczy pańskim obliczem

A Pan pomilczał i stawia pytanie:
— „Widzisz no Waszmość, tam przy tym namiotku,
„Rój ludzi?" — „Widzę Miłościwy Panie".
Król znowu mówi: „Otóż to tam w środku,
„Sam wezyr stoi. Właśnie jego ciury,
„Już rozciągają sejwanowe sznury.
„Niewytrzymały on widzę na skwarze,
„Chce i w batalii mieć wczesne poddasze.
„Żebyś mi tedy podjechał tam Wasze,
„I kopję skruszył, ja każę".
Skinął. Odjeżdża chorągiew świetlana.
Wtem król zakrzyknie: „Aj Panie Koniuszy,
„Goń Pułkownika, ostrzcż go nim ruszy,
„By nie nawodził na nas Bisurmana.
„Ma się salwować tą dróżką na prawo.
„Pokaż mu dobrze. Lecz Maraś a żwawo.
„Teraz ty Mości Sajdaczny Hawryłku,
„Nieś ordre do wojska: wysyłam Hussarzy,
„Niech mi się żadna chorągiew nie waży,
„Dawać tym ludziom posiłku!"

W 1908 r. zmarła poetka Jadwiga Łuszczewska, znana pod pseudonimem Deotymy, autorka „Branek w jassyrze", „Panienki z okienka" i „Zwierciadlanej zagadki", świetna improwizatorka, która pozostawiła w rękopisie piękny poemat „Sobieski pod Wiedniem" (część tego poematu była drukowana za życia poetki). Rękopis, spoczywający w Bibl. Zamoyskich w Warszawie, cudem ocalał i niewątpliwie obecnie zostanie wydany przy pomocy Ministerstwa Kultury i Sztuki. Fragment tego poematu podajemy w dzisiejszym numerze.

Tymczasem srebrni zjeżdżają. W parowie
Wszyscy stanęli na głos Pułkownika.
Ten się odezwał: „Halt! Mości Panowie,
„Słuchajcie: wielki nas honor spotyka.
„Król dziś na swoich nas wybrał Harcerzy.
„Swych Eligjerów chce z nas mieć i wierzy,
„Iż ta chorągiew podobna Kloryndzie.
„Onej wsławionej u Włochów rycerce,
„Pierwszy Turkowi ma zadać sztych w serce
„A więc pokażmy się w bindzie".
Wszyscy radosnym, okrzyknęli głosem,
Czerwone wstęgi ze dna torb wysnuli,
Poczem wiązali je przez pierś ukosem.
(Był to przywilej od prastarych króli,
Nadany śmiałkom co jadą na harce).
Wnet w Polskim wojsku porzewniały starce,
Młodzieńców zapał rozochocił szczery,
Niejeden westchnął: „Czemuż ja nie mogę?..."
Wszyscy krzyczeli: „Vivat Eligiery!
Lećcie, pokażcie nam drogę!"

Widok ten zdziwił niemieckie książęta,
Co na szerokim gór amfiteatrze.
Stały kupkami. „To dla mnie dzień święta"
Mówi pan Waldeck — „Choć raz się przypatrzę,
„Owej sarmackiej modzie wojowania,
„Co Muzułmanów tak sławnie rozgania.
„O, jakaś garstka wyjeżdża. Nie tłoczno...
„Fiu! Skrzydła... szarfy... a wszyscy w szeregu.
„Już są u winnic. Stanęli na brzegu.
„Dobrze, a teraz co poczną?"
„Tyka na tyce i murek nad murkiem.
„Konno tamtędy przejechać nie można.
„Pieszyby ledwie zlazł i to z ostrożna.
„Co się to znaczy? Już są pod pagórkiem...
„Jak Boga kocham, ta garstka zjechała!..."
Jenerał Kątski co blisko miał działa.
Jął mu tłumaczyć, że konie Hussarzy,
Chodzą po schodach, zstępują w otchłanie,
A jeśli droga równiną się zdarzy
To już nie bieg, lecz latanie.
„Widzicie? — mówił — już pędzą po niwie.
„Kopje złożyli w pół końskiego ucha.
„Mkną, jakby sanna! Istna zawierucha!"
„No tak..." — Pan Waldeck rzecze frasobliwie.
„Lecz poco jadą? Na co się to zdało?
„Na rekonesans ludzi tych zamało?
„Na szarżę? Przecież to mniej niż garścina!
„Już nie uwierzy w to nawet i dziecko,
„Ażeby miała ta rota jedyna,
„Mierzyć się z armią Turecką?"

— „A jednak patrzcie!" — zawołał jenerał,
„Patrzcie! Chorągiew na obraz gołębia,
„Który przez chmurę będzie się przedzierał
„Leci wciąż naprzód! Już się zagłębia...
„Dopadła Turków. O już ich przerzyna,
„I wróci jeszcze, wróci ta garścina.
„Lecz ciężko patrzeć w takową zawieję".
— „Tak nic nie widać — biadali widzowie
— „Co się tam dzieje? Ach, co się tam dzieje,
„Tego nam nikt nie opowie".

Próżno książęta mrugali powieką,
Jakiś huragan wstał tam gdzie się biło
Niekiedy tylko niezmiernie daleko,
Był krzyk. Niekiedy jak ziarna przez sito,
Stalowe iskry przez kurzawę biły.
Dwa razy jeszcze ów sztandar pochyły,
Gorąco-żółtą zabłysnął kitajką,
Lecz i ta znikła, skręcona, zmieciona.
W końcu na wszystko nabiegła zasłona
(Bajko zostaniesz, że bajką?)
Szły w górę kłęby mdło-złote, mdło-siwe,
Aż owych pyłków zebrało się tyle,
Że tarczę słońca zakryły przez chwilę,
I jak od chmury padł cień na dolinę.
W tej chwili stała się rzecz niewidziana.
Król drgnął. Na usta olimpijskie Jana
Wystąpił wyraz niewymownej troski.
Może naprózno tych mężnych naraża?
W głębiach wnętrzności uczuł żal ojcowski,
Więc sięgnął do relikwiarza.

(Skarb! Drzewo Krzyża! Kilka zeń odłamków
Dostał je z Rzymu, gdy opuszczał Kraków)
Podniósł i woła: — „Boże Abrahamów!
„Boże Jakubów! Boże Izaaków!
„Zmiłuj się Panie nad wiernym Twym ludem!
„Z pieców ognistych wyprowadź go cudem!"
Tu relikwiarzem żegnał ich z oddali.
— A wojsko Polskie stało przyciszone.
Wszyscy w tę jedną wpatrzyli się stronę —
Zaparli dech i czekali.
Za to wśród Niemców po pierwszym podziwie,
Zawrzała zgroza. Strategik ich wielki,
Herman Badeński tupał niecierpliwie,
I krzyczał siwe targając pukielki:
— „Ależ to jakaś barbarzyńska moda?
„Jam dawno gadał Nie słuchano. Szkoda.
„Ten ich Sobieski to Neron północy!
„Nie, ten wódz swoich żołnierzy nie kocha,
„Wtrącił ich żywcem do paszczy Molocha,
„Czemuż nie poszle pomocy?"

Lecz Karol, Książę Lotaryński zdala
Ciekawe oko topiący w lunecie.
Mówił: — „Margrafie, za wcześnie łajacie.
„Tam coś jest... Z kurzu coś się znów wywala...
„Przebóg, wracają! Widać nitkę srebrną...
„Rwie się... to pogoń! Przebrną? — czy nie
przebrną?
„Wybrnęli! Widzę własnymi oczyma,
„I ledwo wierzę. A co im się chwali.
To że z nich żaden już kopji nie trzyma.
„Wszystkie na Turkach strzaskali!
„Co to? Znów stają... konie poszalały..."
Tu Lubomirski wtrącił: — „A, to zdradą
„Podszedł ich Tatar... O! Latają strzały!
„Ktoś pada.. Znowuż! Mon Dieu! Czy dojadą?..
Lecz Karol wołał: „Już są! Jezus, Maria,
„Cóż to za wojsko, ta Polska Hussaria!
„Dwustu na dwakroć sto tysięcy leci!
„No i wrócili! Nie wszyscy... Wszelako.
„Sztandar odnoszą. Ach i ten Jan Trzeci
„Co śmiał nakazać rzecz taką?..."

Już wracający stanęli przy wzgórzu.
I chust dobyli. Oj, szkoda tej chustki,
Ze złotym haftem, z kraśnymi wypustki!
Lecz dzisiaj wszystko im dobre od kurzu.
Bo mają i zbroję i twarz zamuloną.
Jakby za życia ich już pogrzebiono.
Starli też grzywy krwią zaszłe i pyłem.
Spojrzał Sobieski, wjeżdżają z szelestem.
Zbierzchowski mówi: — „Oto się sprawiłem
„Wedle rozkazu i jestem".
Król odpowiada: „Ano, chwała Bogu,
„Że odprowadził was żywo i żwawo.
„A w ludziach waszmość szkodę masz? Jakową?
Stropił się rotmistrz: „Jeszczem katalogu
„Nie pomiarkował... Lecz Turczyska grzmocą".
Na to król: „Waszmość, po haśle, przed nocą.
„Podasz mi regestr z imion i nazwiska
„Kto zginął". Poczem Pan odwrócił oczy,
Już głowa jego nowe myśli toczy.
Głos nowe rozkazy ciska

Rotmistrz odjechał rad swojej wędrówce,
I Eligjery, jakby ludzie zwykli.
Znowu między polskie wsuwają się hufce
Znikli w natłoku. — Lecz w dziejach nie znikli
Wszystkie ptaszęta Kahlenberskich lasów,
Od owej chwili, aż do naszych czasów,
Białym obłokom i gwiazdom zaświata,
Opowiadają ów przelot Hussarzy.
Dzisiaj on jeszcze chłopięciu się marzy
I w snach panieńskich przelata.
Odtąd, na bitew przemiennej widowni,
Przeszedł walczących rój. Bywali oni,
Przeróżnych strojów i przeróżnych broni.
Bywali straszni, prześliczni, szanowni.
Wielu z nich w pamięć narodów się wraża
Wielu przechodzi pod pędzel malarza.
Ale już nigdy nie zstąpił widomie
Hufiec tak piękny, ni taki dostojny.
Hussarzu Polski pół-orle, pół-gromie,
Ty byłeś poezją wojny!

MIECZYSŁAW GURANOWSKI

KROTOFILA ZYGMUNTA AUGUSTA

Zaiste, nie był to zamek Castelcapuano spowity w lazury zatoki neapolitańskiej, — jeno polski Wawel z widokiem na szarą Wisłę, jeno polska wiosna. Bona Sforza zawżdy chorzała na wiosnę, pomimo kilkunastoletniego pobytu w Polsce. Na wiosnę ogarniała ją także tęsknota za Italią— i wonczas dawała upust porywczej swej duszy.

Tego ranka wstała srodze zagniewana, wymyślając zprostacka służbie włoskiej, drąc złotolite scuffie z Cambrai, przeklinając los, który ją, dziecię słonecznego Bari, zagnał do tej północy.

I jeżeli tu w tej lutej krainie jeszcze cokolwiek radowało Bonę — to jeno myśl o władzy nad starym królem, o bogactwach, po które należało sięgnąć dłonią. Toteż uśmiech wybiegł na lica królowej, gdy jej zameldowano przybycie rządców z Litwy i Rusi. Strojna, uroczna wyszła do nich. Donosili o pobudowanych nowych zamkach, grodach, osiedlach. Bona udzielała rad, rachowała, kłóciła się. Wreszcie znużona przepędziła wszystkich i przyzwała ulubieńca Ludovica Aliphi, który sprawował urząd sekretarza. Obleśny Włoch pełną miał kufę plot, krotofil, któremi rad sypał, niby z rogu obfitości.

Miał dziś w zanadrzu opowieść o nowej pijatyce pana Kmity i swywolach biskupa Gamrata:

— Imaginujcie, miłościwa królowo, — ciągnął, siadając poufale, — że księżysko nie chce płacić długów, a ma ich ponoć tyle, co brudu za paznokciami. Kiedy wczora zebrali się wierzyciele pode drzwiami, kazał im tak powiedzieć: „dosyciem ja myślał, gdziem pieniędzy miał dostać, niechaj że tera oni myślą, skąd im zapłacę". Tedy pomyśleli i poszli.

— Zacny to sposób na niepłacenie długów, — zaśmiała się Bona, wszelako to mi dziwne, na co biskupowi tyle grosza potrzeba?

— Miłościwa pani, — odpowiedział dworak, — oni tu w Polsce wszystko przeżerają, toć słusznie nasz Ruggieri napisał, iż jeden Polak zje za pięciu Włochów.

— A jakże sfora polskich panów?— pytała Bona, — uciszyła się nieco?

— Gdzie zaś! nie dalej jak wczora pan kasztelan Tarnowski na radzie dogryzał Gamratowi, że to on potomstwa nie ma, więc go przyszłość Rzplitej nie obchodzi.

— Zali chciałby potomstwa od biskupa? Ach, oni w tym kraju krzywi na cudzą uciechę.

— Wszelako bawią się po swojemu, ale-ć ich igraszka cale insza od naszej, która jest pełna słodkiej melankolji.

— **In fatto**, pragnęłabym naszego syna jak najdalej od nich trzymać, aby miał duszę italską, i na Madonnę! odgrodzę królewica od pospolitości.

— Co nie będzie zbyt trudne, serenissima, — dodał Aliphi, — bowiem po tej stronie zamku — to Neapol, to Castelcapuano! Uszy królewica pełne naszej cudnej mowy, dusza — muzyki. Messer Sylvio Amato, nauczyciel młodego pana, powiadał mi wczora, że królewic śpiewa jak Amfion, pląsa, jak syn Terpsychory, a... oczyma pożera nasze dziewczęta.

— Miłą mi waść zwiastujesz nowinę. Wezwijże mi wnet królewica.

Aliphi klasnął w dłonie, w progu ukazał się camerier, któremu zlecił poprosić Zygmunta Augusta. Jakoż za chwilę młodzian przybył w asyście messer Sylvia Amato.

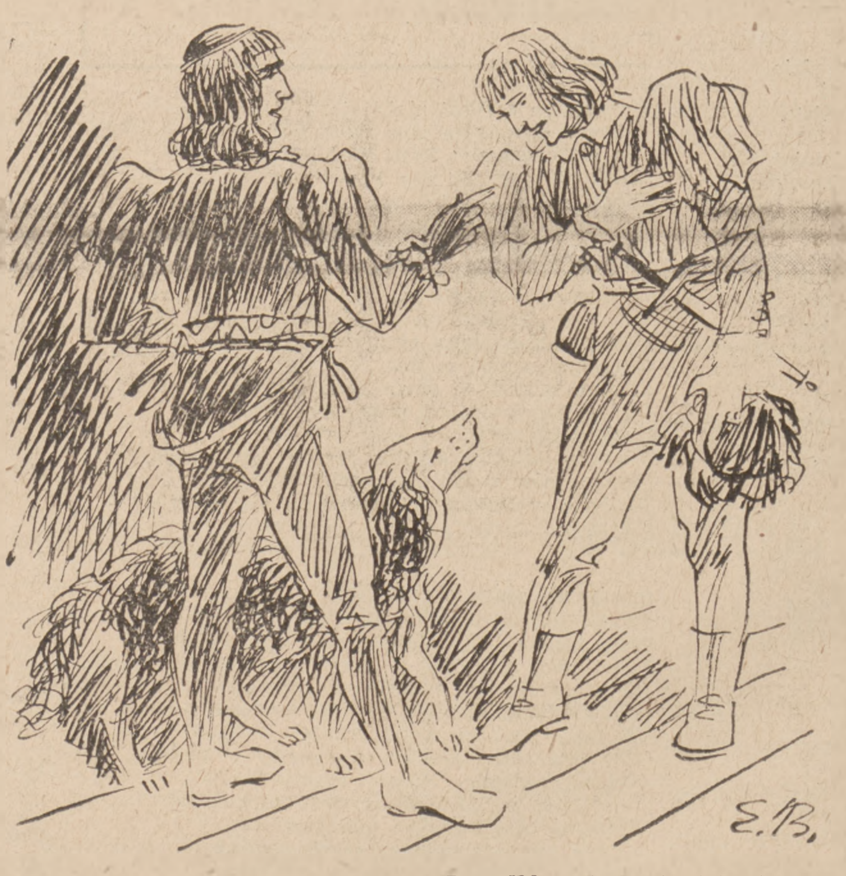
— Pójdź w me objęcia, — zawołała patetycznie Bona, a kiedy królewic ucałował ze czcią ręce matki, — rzekła z niepokojem: blady jesteś synu, azali nie chorzejesz?

— Miłościwa królowo, — odezwał się Amato, — istotnie królewic źle się czuje, bowiem zamało przebywa na powietrzu.

— Toć ogrody królewskie dość go mają, — zauważył Aliphi!

— Na Boga! — wybuchnęła porywczo Bona, — więzisz mi syna, Sylvio, bacz, że głową odpowiesz za jego zdrowie.

— Pani matko, — wtrącił nieśmiało Zygmunt, — messer Sylvio tu nie winien, wżdy ogrody znudziły mnie srodze. Wolejby daleko za mury zamkowe.



Rys. Edmund Bartłomiejczyk

— Zgoda, — rzekł — owo ja będę tobą, ty zaś mną.
— Zali potrafię? spytał skromnie dworzanin.

— Dokąd to się mojemu synowi marzy? — zagadnęła Bona.

— Hen, tam w one wsiowe podmuchy, pani matko, radaby dusza polecieć...

— Cóż to ma znaczyć?

— Królewic radby okolice krakowskie zwiedzić, — wtrącił Sylvio.

— Prawda to, Sigismundo?

— Jako żywo, królowo, poglądam z okien zamkowych na błonia, a całkiem ich nie znam; pozwólcie, pani matko, na podróż w tutejsze strony.

— Co myślisz o tym, Aliphi, król pan nasz miłościwy w Niepołomicach?

— Zezwól, serenissima regina, królewicowi istotnie trza wsiowego powietrza, a do Najjaśniejszego Pana gońca wyślemy z wiadomością.

— Tedy przyzwalam, jeno dla bezpieczności rozkazuję wziąć ze sobą sześciu zbrojnych dworzan; dalej jak do [illegible]zyna nie zapuszczać się, po[illegible] za dni parę [illegible] słać z wieściami o zdrowiu królewica.

— Według rozkazu, najjaśniejsza pani.

— Twojej opiece, Sylvio, polecam Zygmunta Augusta.

— Dbał będę o niego, by o własną źrenicę, — rzekł, kłaniając się ochmistrz.

— Dank ci składam, matko, — zawołał uradowany królewic.

— Adio, a powracaj w zdrowiu, świętej Anunziacie cię polecam.

Odmówiła krótką modlitwę nad schylonym u jej kolan synem, przeżegnała go i dała znak, że może odejść.

Z jaką radością biegł do swych komnat królewic, ażeby wieść o podróży zanieść druhowi zabaw dziecięcych Jaśkowi z Krzeszowic, synowi dworzanina w służbie Zygmuntowej! Akuratnie młody rycerz próbował ogromnego tasa, wywijając nim srodze:

— Raz... dwa... trzy... ja ciebie... ty mnie!

— Jaśko, — zawołał królewic, — wybieramy się w drogę.

— Dokąd? — spytał dworzanin, nie przerywając szermierki.

— Do Łobzowa, do Balic...

— A po co będziemy tam jechali?

— Po żonkę dla ciebie, — zaśmiał się Zygmunt, — a porzucić ten tas przeklęty. Po dech jadę, bez którego w onych fetorach zamkowych całkiem się duszę.

— Dobra nasza, — zawołał radośnie Krzeszowicki, — a co na to najjaśniejsza królowa?

— Zezwoliła, jedziemy samosześć. Oprócz ciebie: Szydłowiecki, Staszko Gniewosz i paru innych.

— A weźmijmy Giovanniego, bo to i lutnista przedni i wesołek niezgorszy.

— Zgoda.

— Wasza miłość, — stropił się Jaśko, — a jak to będzie z ochmistrzowstwem?

— Pojedzie Amato.

— Uf, ciężka to kolubryna!

— Wolę go od Opalińskiego.

— Pewnikiem... Pan Amato lubi a m a t i o n e s, to i niezgorszy będzie kompanjon.

Roześmiali się obydwaj i rozeszli, pełni radosnych myśli o wyprawie. Niebardzo królewic spał onej nocy, marząc o jakowychś niezwykłych przygodach, i już o świcie pobudził szatnych. Za chwilę wtoczył się mistrz Sylvio Amato, przychlebiając się młodemu panu, że to jemu wżdy zawdzięcza wyprawę.

— Nie zapomnę, — rzekł oschle Zygmunt, — a jak przyjdzie pora nagrodzę. Oto i Jaśko, — zawołał, witając życzliwie wchodzącego ulubieńca.

Na dziedzińcu zamkowym uformował się maleńki hufczyk młodzi rycerskiej, przydanej panu dla obrony, a wszystkowiedzące włoszki z fraucymeru królowej zebrały się na ganku, posyłając królewicowi słodkie: a r r i v e d e r c i.

Zatrąbił Staszko Gniewosz „wsiadanego", mignęły na kształt gołębi chusteczki signorin na krużgankach, zgrzytnęły łańcuchy mostów, i kompania wyruszyła za wały.

Królewic spojrzał na świat, i serce zabiło mu radośnie. Bo oto wiosna roztoczyła krasę dziewiczą, bo oto szły wonie bzów, rozhowory dąbrowy. Pola zaorane powlokły fiolety, a z nich dobywały się na boży świat zielone kiełkujące źdźbła. A zaś na topolach klekotały bociany, rozpowiadając dziwy-cudy, cudy-dziwy zamorskie.

Minęli przedmieście i znaleźli się na szerokim gościńcu. Królewica lud tamtejszy nie znał, tedy jechali w spokoju, tłumiąc okrzyki radości.

— Uf, jak dobrze, — rzekł Zygmunt, — przeciągając się na kulbace.

— Jako w raju, — odpowiedział Jaśko.

Wysunęli się na przód orszaku. Za nimi na siwoszu wlókł się ochmistrz Sylvio Amato. Pochód zamykał Giovanii, brzdąkając na lutni. Dworzanie, zrazu onieśmieleni obecnością królewica, widząc jego roześmianą twarz, zaczęli wesoło pogwarzać, — i cały ten orszak czynił wrażenie roju pszczół, brzęczących w lipowym sadzie. Mijali wioski, małe osiedla, a gorąc stawała się coraz większa; królewic rozpiął burkę, zaś lica zarożowiły mu słońce i wichry. Jaśko opowiadał młodemu panu o życiu wsiowym, słuchał go Zygmunt, aliści bardziej jeszcze pogwaru ech, klekotu bocianów. I w miarę słuchania onej muzyki sielskiej, ogarniała go radość pomieszana z tkliwością. Toć życie płynęło mu dotychczas niefrasobliwie. Otrzymana z rąk litewskich panów korona nie uciskała jego młodocianej skroni, za niego myślał i poczynał wielki Rodzic, zaś królowa - matka uprzyjemniała żywot wymyślnym a rozkosznym trybem.

A cudowny był on tryb włoski... W olbrzymich komnatach wawelskiego zamku, śród ścian pokrytych arrasami biegła pod stropy upojona pieśń sorrencka, a wdzięczne panny w brokatelach i adamaszkach, honory gospodyń czyniły. Aksamitne spojrzenia ich płomiennych oczu wdzierały się głęboko do serca — i między pozłocistymi rozetami pował a kobiercami adziamskiemi na posadzkach, w mdłych oparach piżmowego zapachu, bujała baśń o kochaniu...

(C. d. w następnym numerze)

Blisko 3 miliony pracujących

zaopatruje w materiały odzieżowe i obuwie Łódź

Ajentura Włókiennicza „Społem“ w Łodzi powstała w r. 1924. Była ona spółdzielczą hurtownią włókienniczą, która zaopatrywała oddziały handlowe „Społem“ w nici i skarpety, a spółdzielniom zrzeszonym w Związku „Społem“ dostarczała bezpośrednio wszelkie artykuły tekstylne. Ajentura szybko rozbudowała swoją działalność, i uruchomiła wkrótce własną placówkę produkcyjną pn. „Zakłady Włókiennicze“ w Łodzi. „Zakł. Włókiennicze“ stały się w 1938 r. odrębną jednostką, a agentura, w związku z poważnie rozszerzoną działalnością, została przekształcona na Oddział Włókienniczy. Oczywiście, że w czasie okupacji hitlerowskiej, Oddział musiał przerwać swoją działalność.

Reaktywowany w lutym 1945 r. Oddział Włókienniczy Nr 2 w Łodzi stał się placówką centralną dla całej Polski. Kierownikiem tej placówki jest ob. Jan Giełzak, absolwent Szkoły Spółdzielczej w Warszawie.

Właściwą działalność handlową Oddział rozpoczął w dn. 22 kwietnia 1945 r. Prowadzi wyłącznie towary reglamentowane produkcji krajowej i towary pochodzące z dostaw „UNRRA“. Odbiorcami Centralnego Oddziału Nr 2 są okręgowe oddziały włókiennicze, istniejące prawie we wszystkich miastach wojewódzkich.

Rok 1945 w działalności Oddziału był okresem nieuregulowanego rozdzielnictwa. Ministerstwo Aprowizacji na podstawie zapotrzebowań przydzielało dowolnie różnym instytucjom, zakładom pracy i organizacjom, pewne ilości towarów włókienniczych. Ogólny obrót towarowy Oddziału w 1945 r. wyniósł ca 200 wagonów.

Rok 1946 był pierwszym rokiem, w którym na akcję zaopatrzenia ludności pracującej rzucono większe ilości towarów. Zostały zaprowadzone równoległe trzy rodzaje zaopatrzenia: akcja kartkowa (dla wszystkich pracujących), wyprawek niemowlęcych i specjalne (zapotrzebowanie centralne różnych organizacji społecznych).

Najpoważniejszą była i jest akcja kartkowa. System rozdzielnictwa ustaliło Ministerstwo Aprowizacji i Handlu, polecając Związkowi „Społem“ dystrybucję towarów, przeznaczonych na ten cel. Cały kraj podzielono na 4 strefy. Jedna strefa obejmowała przeciętnie 4 województwa. Jeżeli jedna grupa z województw otrzymała w danym kwartale bawełnę, to druga — wełnę, trzecia — dziewiarstwo, a czwarta — obuwie. W następnym kwartale kolejność zmieniała się i tak w ciągu jednego roku każda strefa otrzymała kolejno wszystkie cztery rodzaje towarów.

Asortyment towarów, przeznaczonych na zaopatrzenie kartkowe, był dość różnoraki, a mianowicie: w towarach bawełnianych — płótno białe, bieliźniane i koszulówka, drelichy, cajgi, kretony i materiały sukienkowe, flanela, barchany oraz dodatki krawieckie. W towarach wełnianych (60 proc.) — ubraniowe męskie, kostiumowe damskie, płaszczowe męskie i damskie oraz sukienkowe. W towarach dziewiarsko - pończoszniczych — bielizna męska, trykotowa (jedwabna i bawełniana), pończochy damskie i skarpety męskie — różne. W obuwiu — kamasze, pantofle męskie i damskie, skórzane i tekstylne.

Wymieniony wyżej wachlarz towarów okazał się obszerny i w roku 1947 wysiłki zarówno Ministerstwa Przemysłu, jak i Ministerstwa Aprowizacji, poszły w kierunku zmniejszenia asortymentu towarów włókienniczych, przeznaczonych na karty odzieżowe, przy jednoczesnym podniesieniu i możliwym ujednoliceniu ich poziomu gatunkowego.

Towary wydawano na karty odzieżowe, które zawierały 56 punktów bawełnianych, 42 punkty wełniane, 46 punktów dziewiarskich i 30 punktów obuwianych. Wartość punktową poszczególnych towarów określiło Ministerstwo Aprowizacji specjalnym zarządzeniem.

Obrót towarowy Centralnego Oddziału w 1946 r. wynosił ca 100 wagonów.

W roku 1947 przyszło dalsze, znaczne usprawnienie rozdzielnictwa, szczególnie na odcinku rotacji towarów. To też ogólny obrót towarowy Centralnego Oddziału osiągnął w tym roku ca 1.200 wagonów.

W ciągu 32 miesięcy swojej działalności Oddział Centralny Nr 2 przekazał do rozdzielnictwa dla ludności pracującej około 2.400 wagonów towarów włókienniczych produkcji krajowej. Prócz tego rozdzielił na terenie całego kraju około 1.300 wagonów artykułów tekstylnych z dostaw „UNRRA“.

Dla orientacji podajemy, że ostatnio akcją zaopatrzenia kartkowego objętych jest w Polsce 2.809.450 osób pracujących.

Fronton odbudowanego ostatnio gmachu Oddziału Włókienniczego



Fragment wnętrza działu tekstylnego.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ ROBOTNICZA na Podkarpaciu

Okręgowy Oddział Rolniczy „Społem“ w Krakowie rozpoczął swoją działalność w styczniu 1945 roku. W rok potym powołany został do życia Okręgowy Oddział Przemysłowo - Rolny „Społem“ w Krakowie, którego działalność związana była z organizacją i zaopatrzeniem przemysłu wiejskiego w woj.krakowskim.

Oddział w chwili obecnej zatrudnia 332 osoby i prowadzi kilka placówek produkcyjnych, a mianowicie: Odlewnię Żeliwną w Charsznicy, Wikliniarnie w Niepołomicach i resztówkę majątku Izdebnik. W pierwszych dniach lutego br. uruchomiona została ponad to Czyszczalnia nasion w Krakowie, druga w Polsce pod względem wielkości, która jest w stanie obsłużyć 4 województwa.

Poważnymi osiągnięciami Okręgowego Działu było zaopatrzenie świata pracy woj. krakowskiego w ziemniaki. Akcję tę przeprowadzono wspól nie z Okręgową Komisją Zw. Zawodowych jesienią ub r., pokrywając zapotrzebowanie w 80 proc. Wspomnieć również należy o akcji węglowej. Węgiel do lipca ub. r. sprowadzano galarami, pokrywając w zupełności zapotrzebowanie.

W ub. r. Okręgowy Oddział zajął pierwsze miejsce w Polsce pod względem ilości rozprowadzonych nasion. Skup skór futerkowych i filców jest również właściwie zorganizowany. Dział ten w pierwszych dwóch dekadach stycznia br. dostarczył przemysłowi państwowemu skórek za przeszło milion zł. Dział zielarski, oprócz prowadzenia suszarni i plantacji uruchomił w październiku ub. r. produkcję olejków eterycznych z ziół. Wreszcie w roku 1946 Oddział zorganizował szereg wystaw maszyn rolniczych, które cieszyły się dużym powodzeniem i przyczyniły się niewątpliwie do propagandy mechanicznej uprawy roli.

Okręgowy Oddział posiada nowoczesne, całkowicie zmechanizowane magazyny. Ostatnio zainstalowano tam motopompę do stacji materiałów pędnych. Te ostatnie dostarcza się spółdzielniom przez własną auto-cysternę.

Projektuje się zmodernizowanie odlewni żeliwnej i uruchomienie mieciarni i niklowni.

JADWIGA ŻYLIŃSKA

MODA POPRZEZ HISTORIĘ

WYZNANIA MIŁOSNE

(Rysunki autorki)

Najczęściej nie zdajemy sobie sprawy, jak silny jest wpływ konwenansu na nasze stany emocjonalne i na sposób ich wyrażania. A przecież słowa, które w jednej epoce brzmią prawdziwie, w następnej już ulegają dewaluacji, trącą myszką.

Podobnie jak w różnych epokach istniały różne systemy prowadzenia wojny, wyznania miłosne podlegały rozmaitym regułom i zmieniały się zależnie od panującej mody.

W średniowieczu moda nakazywała kochać się w kobietch zamężnych. O nich zachowały się najpiękniejsze wersje miłosne, a trubadurzy i minstrele wielbili je w swoich pieśniach. A chociaż mężowie nigdy nie uznawali tego porządku, opinia publiczna zawsze była po stronie kochanków, o ile tylko byli sobie wierni.



Kochankowie średniowieczni

„A że królowa Ginewra w ciągu całego swego życia była dobrą kochanką — pisze Sir Thomas Malory w r. 1469 — przeto miała dobry koniec".

Że jednak w czasach średniowiecznych rozwody jeszcze nie weszły w modę, romans kochanków kończył się nie małżeństwem, lecz rozstaniem. Najpiękniejsze słowa znajdują też zwykle kochankowie nie na początku swojej miłości, lecz w godzinie pożegnania:

„Błagam cię, panie Lancelocie — mówi królowa Ginewra — i zaklinam na całą miłość, jaka była między nami, ażebyś nigdy nie próbował zobaczyć się ze mną, lecz wrócił do swojego królestwa. Gdyż, — pomimo, iż tak bardzo cię kochałam, nie chcę cię widzieć więcej, gdyż przez ciebie i przeze mnie, wyginął kwiat całego naszego rycerstwa. Proszę cię więc gorąco, wróć do twojego królestwa, pojmij żonę i żyj z nią szczęśliwie. I jeszcze jedno: módl się za mnie, ażeby Bóg przyjął moją pokutę".

Na to Lancelot:

„Teraz słodka pani miałbym wrócić do mojego kraju i wziąć inną za żonę? W tobie ja miałem całą moją radość na ziemi, a jeżeli zmieniłaś swoje serce i pragniesz pokuty, zachowam ci wierność do końca i sam również oddam się pokucie. A teraz proszę cię o jedno: pocałuj mnie raz jeszcze i nigdy więcej". —

„Nie — odpowiedziała — tego nie uczynię" — i z tymi słowami rozstali się.

A nie było chyba człowieka na ziemi, który by nie płakał na widok ich rozpaczy, która była tak wielka, jak gdyby zadano im ostre ciosy lancą („Le morte d'Arthur", tom IV — Thomas Malory).

Miłość ludzi średniowiecznych była ustawicznie rozdarta między namiętnością ziemską, a tęsknotą do nieba.

Miłość w epoce Renesansu jest o wiele mocniej osadzona w doczesności. Kochankowie umierają nie tyle z miłości, ile od podstępnego ciosu sztyletem lub od trucizny, podanej przez zazdrosnego rywala, a czasem przez dłoń ukochaną. Rycerz renesansowy nie zdobywa miłości swojej damy na turniejach, lecz umawia się z damą w modnej gospodzie.

Język miłosny owej epoki jest rubaszny, krwisty i frywolny.

Posłuchajmy, w jakich słowach zaleca się pan Falstaff do pani Ford:

„Pani Ford, smutek twój pochłonął moje cierpienie. Widzę, że jesteś gorąca w miłości, a bądź przekonana, że wszystko tak ci zapłacę, iż nie będzie na szerokość włoska różnicy, a to pani Ford, nie tylko w zwykłych obowiązkach miłości, ale i we wszystkich przyborach, dopełnieniach i ozdobach". („Wesołe kumoszki z Windsoru", akt IV, W. Shakespeare).

„Żywoty Pań Swawolnych" Brantome'a potwierdzają również, jak dalece miłość ludzi renesansowych odbiega od średniowiecznych wzorów: Tristana i Izoldy, Aucassin i Nicolette, Floris i Blanchefleur.

Reakcją na zepsucie i perwersję miłosną wieku XVII i XVIII jest miłość romantyczna, która gloryfikuje nie posiadanie, lecz wyrzeczenie, nie miłość wzajemną, lecz nieszczęśliwą.

Kochanek epoki romantycznej, to bohater Byrona, ponury, tajemniczy, prześladowany przez los.

Miejscem spotkania kochanków nie jest średniowieczny ogród klasztorny, ani renesansowa gospoda, czy alkowa Ludwików, lecz cmentarz oświetlony księżycem, na którym rosną cyprysy. Kochanek nie prosi damy o rękę, lecz:

„Chodź, chodź do tej, o siostro kaplicy! Chodź ze mną, stamtąd nie wyjdziesz bez brata, ani bez siostry ja— chociaż oboje bez ciał wyjdziemy". („Fantazy", akt V, J. Słowacki).



Kochankowie romantyczni

Nie znaczy to, ażeby kochankowie romantyczni koniecznie odbierali sobie życie, etykieta jednak owego czasu wymagała, ażeby mówić o samobójstwie, tudzież „mieć twarz od księżyca bladszą, jak Manfred".

Wiek XIX jest epoką panowania stylu mieszczańskiego. Miłość jest uważana za rzecz gorszącą, grzeszną, należącą omal do półświatka. O miłości mówi się z kobietami typu „Damy Kameliowej", natomiast w „porządnym" domu wyznania miłosne mają przebieg następujący:

„On siadł, lecz patrzył na nią wzrokiem, tak pełnym uwielbienia i zachwytu, że poczęło ją to mieszać. — Co za nieposłuszny model — rzekła— niech pan odwróci głowę trochę na prawo i nie patrzy na mnie. To rzekłszy zbliżyła się i dotknąwszy palcami jego skroni, poczęła mu odwracać z lekka głowę na prawo. Lecz jemu serce jęło bić jak młotem, wszystko zakręciło mu się w oczach i przytrzymawszy rękę panny Castelli, przycisnął do ust jej ciepłą dłoń.

— Co pan robi — szepnęła Lineta.

On wciąż trzymał jej dłoń na ustach — i nie odpowiadał nic — tylko przyciskał ją coraz silniej. Wówczas ona rzekła spiesznie: — Niech pan pomówi z ciocią..." („Rodzina Połanieckich", tom III, H. Sienkiewicz).

Takimi słowami rozmawiali ludzie o miłości w bezpiecznym wieku XIX, kiedy to dobrze wychowana panna nie mogła wyjść na ulicę bez kapelusza i rękawiczek, a także bez opieki.

Potem przyszły dwie wojny światowe.

Ludzie zostali wyrwani z całego bezpieczeństwa osiadłego życia, które zdążyło już obrosnąć pruderią i obłudą. Dystans między człowiekiem i śmiercią, zmniejszył się niepomiernie, a tym samym wszystko inne nabrało nowych proporcji. W wieku XIX pieniądz zajął miejsce Boga w duszy ludzkiej i oto człowiek wieku XX wyszedł na przeciw śmierci z pustką w sercu. W obliczu ustawicznie grożącej mu katastrofy szuka w drugim człowieku przede wszystkim — sprzymierzeńca, towarzysza swojej doli człowieczej:

— „Kochałeś innych?"



Oświadczyny w 1895 r.

— Nigdy.

Potem nagle drętwieje w jego ramionach: Lecz różne rzeczy robiono ze mną. —

— Kto?

— Wielu.

Leżała tak cicho jak umarła, potem odwróciła głowę od niego:

— Teraz nie będziesz mnie kochał.

— Kocham cię — odpowiedział.

Lecz coś stało się z nim i ona wiedziała o tym.

— Nie — powiedziała, a ton jej głosu był martwy i bez barwy. — Nie będziesz mnie kochał. Lecz może będziesz chciał mnie zabrać do swojego domu. Chciałabym być z tobą, chociaż nie będę twoją żoną, ani niczym w ogóle.—

— Kocham cię Mario.

— Nie, to nieprawda — odpowiedziała. Potem jako ostatniej deski ratunku uchwyciła się tego:

— Lecz nigdy nie całowałam żadnego mężczyzny.

— Więc pocałuj mnie. („For Whom the Bell Tolls" — Hemingvay).

Zarówno tekst rozmowy, jaką prowadzą kochankowie Hemingvaya, jak i tło, na którym ta rozmowa się odbywa — las, gdzie ukrywają się partyzanci — jest wyrazem stylu naszej epoki.

Jest w nim spoufalenie ze śmiercią i wszelką okropnością, definitywne zerwanie z konwencją mieszczańskiej pruderii i odwieczna tęsknota do wartości nieprzemijających. Roberto partyzant i Maria dziewczyna zgwałcona przez faszystów nie mają sobie do ofiarowania nic poza miłością. I oto po wielu kataklizmach dziejowych, po wielu „modach", obowiązujących w miłości, przyszła moda na nią samą. Odarta jest ta miłość z wszelkich akcesorii, przydających jej sztucznego blasku, często niezabezpieczona kontraktem małżeńskim. Jednak ludzie ufają jej w dalszym ciągu.

Prawdopodobnie następne pokolenie będzie uważało nasz język miłosny za patetyczny i staromodny, cóż stąd, dla nas właśnie ten styl jest zgodny z rzeczywistością naszego życia, opatrzonego szansą nieustającego ryzyka.

FRASZKI O KOBIECIE

Stawiaj mężu jak chcesz warty,
Staw na wszystkie świata strony,
Nawet tygrysy, lamparty,
Nie ustrzeżesz młodej żony.

*

Mąż na swej starej żony
Niewierność się żali.
Nie wie, że w starym piecu
nieraz diabeł pali.

*

Stale od pokus się broni
Owa niewiasta przykładna.
Grzech przystępu nie ma do niej,
Czemu? Bo strasznie szkaradna.

Kochać się w starej babie
Jest to ciężko zgrzeszyć,
Bo i Boga obrazić
I diabła rozśmieszyć.

*

Pismo święte powiedziało:
„Mąż i żona jedno ciało".
Jednakowóż mąż nie czuje,
Jak mu kto żonę całuje!

*

Astronom, który gwiazdy
Liczy na miliony,
W domu trzech zliczyć nie umie
Wobec własnej żony.

*

Co kto lubi, różne gusta —
Jeden serce, drugi usta.

Embe.

Młyny pomorskie żywią
Warszawę, Łódź i Zabrze

Z dniem 1 października 1945 r. zorganizowany został przy Delegaturze Zarządu „Społem" w Bydgoszczy Okręgowy Oddział Młynarski, w którego administracji znajdowało się wówczas 5 młynów. W czerwcu 1947 r. Okręgowy Dział Młynarski w Bydgoszczy przejął od Zjednoczenia Młyńsko-Piekarskiego 11 dalszych placówek młyńskich, osiągając w ten sposób ogólny stan 16 administrowanych przez siebie młynów, o łącznej zdolności przemiałowej 600 ton ziarna na dobę.

Placówki młyńskie Okręgu Pomorskiego pracowały początkowo bardzo słabo, a to ze względu na duże trudności w zakupie zboża. Dopiero od września ub. r., kiedy rozpoczęła się ścisła współpraca Okręgowego Oddziału z Funduszem Aprowizacyjnym młyny pomorskie zaczęły w 90 proc wyzyskiwać swoją zdolność produkcyjną, przerabiając na dobę 540 ton ziarna. Stan ten trwa po dzień dzisiejszy.

Na odcinku zbożowym Okręgowy Oddział, jako placówka skupująca zboże, osiągnął sukcesy zakupując w 1947 r. dla Funduszu Aprowizacyjnego 300.000 ton ziarna. W br. zakup zboża wynosi przeciętnie miesięcznie 2.500 ton. Wyprodukowana w młynach pomorskich mąka, poza zaspokojeniem lokalnego rynku, wysyłana jest do Warszawy, Łodzi i Zabrza. Obok zakupu zboża i przerobu tego zboża w młynach. Okręgowy Oddział przeprowadza akcję premiowania dostaw mlecznych przydziałem otrębów. Przydziela się rolnikom przeciętnie miesięcznie 3.000 ton otrąb. Rozdziałem otrąb zajmuje się 70 punktów dystrybucyjnych, rozrzuconych po całym województwie. Punktami tymi są spółdzielnie wiejskie.

Młyny woj. pomorskiego, jako zakłady przemiałowe były przez niemieckiego okupanta eksploatowane rabunkowo: wyzyskiwano pełną ich zdolność produkcyjną, a nie dokonywano w nich żadnych inwestycji. Toteż straciły one wyposażenie techniczne, jakie kiedyś posiadały. Przykładem służyć tu może Młyn w Lubiczu k. Torunia, w którym dopiero teraz uruchomiono płuczki i suszarki, dzięki temu produkowana tam mąka jest pod względem gatunkowym bezkonkurencyjna. Takie same urządzenia uruchomiono również w młynach w Wąbrzeźnie, Nakle i Przechowie i zaplanowano ich w młynie w Toruniu. Podkreślić należy, że turbiny wodne w młynach w Lubiczu i Przechowie zostały własnymi środkami materialnymi i fizycznymi wyremontowane, a przywróciło tym przedsiębiorstwom pełną ich siłę napędową. Obecnie dział techniczny okręgowego oddziału intensywnie pracuje nad zorganizowaniem i uruchomieniem laboratoriów przy 5-ciu dużych młynach.

Pojemność magazynowa młynów, administrowanych przez Okręgowy Oddział wynosi 40.000 ton zboża, a w połączeniu z magazynami istniejącymi przy spółdzielniach — podnosi się do 60.000 ton. Od dnia 1.10 ub.r. do chwili obecnej przerzucono przez wszystkie magazyny (łącznie ze zbożem po chodzącym z podatku gruntowego) 140.000 ton ziarna.

Aczkolwiek okres działalności Okręgowego Oddziału jest stosunkowo dość krótki, to jednak placówka ta mocno wżyła się w teren. Działalność miejscowych spółdzielni wiejskich jest dziś wprost niemożliwa bez współpracy z Okręgowym Oddziałem, jako nadbudówki gospodarczo - spółdzielczej. Obroty w zakupie zboża dokonywane są wyłącznie poprzez spółdzielnie, które z pełnym zaufaniem obroty te podtrzymują.

Obecnie Okręgowy Oddział przygotowuje się do wprowadzenia w życie zmian strukturalnych, ustalonych przez Kongres Spółdzielczy w Warszawie.

Nowy gmach „Społem"
w Bydgoszczy



Fronton odbudowanego ostatnio gmachu Oddziału Włókienniczego „Społem" w Bydgoszczy.

Dnia 1 marca 1948 r. Okręgowy Oddział Włókienniczy „Społem" w Bydgoszczy zakończył 2-letni wysiłek i rozpoczął 3-ci rok pracy w nowym budynku.

Dnia 29 lutego 1948 r. został oddany do użytku odbudowany ze zgliszcz i spalenisk przedwojenny Dom Towarowy, stanowiący obecnie chlubę miasta i najbardziej reprezentacyjny gmach w samym sercu Bydgoszczy.

Mieszczą się w nim poza Spółdzielczym Domem Towarowym reprezentowanym przez Bydgoską Spółdzielnię Spożywców i Spółdzielnię Księgarsko-Papierniczą „Nauka" — również biura i magazyny Oddziału Włókiennicze go „Społem".

Jak nas informuje kol. Kazimierz Musiał — kierownik Okręgowego Oddziału Włókienniczego „Społem" w Bydgoszczy bilans dwuletniego wysiłku ku zamknięto poważnym osiągnięciem. Zdać bowiem należy sobie sprawę, że Oddział działalność swoją rozpoczął od podstaw — gnieździć się w małym lokalu, bez odpowiednio i fachowo przygotowanego personelu i bez urządzeń. Dziś Oddział posiada 60 wykwalifikowanych i przeszkolonych pracowników, widne i ciepłe magazyny i biura i w zasięgu województwa jest jedyną hurtownią, zaopatrującą ludność w artykuły włókiennicze, oraz w towary reglamentowane.

Poważne osiągnięcia
Młodej Spółdzielczości

Prace organizacyjne spółdzielczości na terenie woj. Olsztyńskiego rozpoczęto w kwietniu 1945 r. Wtedy to w Olsztynie powstała pierwsza placówka „Społem", był nią Oddział Spożywczy, który rozpoczął swoją gospodarczą działalność w dn. 17 kwietnia. Zasięgiem tej działalności objęty został początkowo powiat olsztyński, a póżniej i powiaty sąsiednie, aż wreszcie z dniem 1 czerwca 1946 r. pierwsza ta placówka przekształcona została na Okręgowy Oddział Spożywczy „Społem" w Olsztynie. obsługujący obszar całego województwa. Od tej chwili Okręgowy Oddział zaopatruje w towary: 15 powiatowych oddziałów i 46 spółdzielni z terenu miasta Olsztyna i pow. olsztyńskiego.

Okręgowy Oddział zatrudnia obecnie 134 pracowników i prowadzi artykuły: spożywczo - kolonialne, chemiczne, ceramiczne, papiernicze, opałowe, włókiennicze, monopolowe (sól, zapałki, tytoń) i hurtownię wyrobów P.M.S.

Obroty Oddziału stale wzrastają.

Biura i magazyny całkowicie odpowiadają potrzebom Okręgowego Oddziału. Magazyny posiadają własną bocznicę kolejową.

Woj. olsztyńskie liczy w tej chwili około 550.000 mieszkańców, z czego na miasto Olsztyn przypada około 50.000 ludności. Spółdzielczość Okręgu jest młoda, ale wykazać się może poważnymi osiągnięciami w zagospodarowaniu tych terenów. Ludność obdarza spółdzielnie najpełniejszym zaufaniem. Stosunek władz do spółdzielczości w woj. olsztyńskim jest bardzo przychylny, widoczne są bowiem pozytywne wyniki prac tego sektora gospodarki narodowej, na tych odwiecznie polskich, a niedawno wyzwolonych od wroga obszarach Rzeczypospolitej. Sieć spółdzielni w Okręgu jest prawie dostateczna. Spółdzielczość wiejska została już zunifikowana. Organizuje się obecnie Związki Gminnych Spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej".

Zespół pracowników Okręgowego Oddziału z kierownictwem na czele, odznacza się dużym uspołecznieniem i jest coraz lepiej przygotowany do wykonania zadań, jakie stoją przed spółdzielczością na tych północno-wschodnich rubieżach Odrodzonego Państwa Polskiego.

WIERNY OKRĘT

Dnia 6 kwietnia 1939 r. wypłynął z Gdyni Szkolny Okręt Rzeczypospolitej Polskiej „Iskra“, a na nim wśród kilkudziesięciu młodych podchorążych naszej marynarki — Józef Bartosik, obecnie kpt. marynarki, który cały czas wojny spędził w marynarce polskiej, walczącej dzielnie z hitlerowskimi Niemcami.

Bogate przeżycia swoje, a zarazem polskich marynarzy opisał Bartosik barwnie i ciekawie w książce pt. „Wierny Okręt“.

Kilka fragmentów z tej książki przed jej ukazaniem się, drukowaliśmy w „Tygodniu“ i niejednokrotnie otrzymaliśmy listy od naszych Czytelników, w których znajdowały się słowa uznania pod adresem kpt. Bartosika, który okazał się nie tylko dobrym oficerem marynarki, ale i świetnym pisarzem marynistą.

Bez przesady powiedzieć można, że jest to najlepsza dotychczas książka marynistyczna w literaturze polskiej.

Znajdujemy w niej ciekawy opis ucieczki „Orła“ z Tallinu, przedarcie się jego szczęśliwe poprzez Skagerrak, następnie operacje u wybrzeży Norwegii i wyczyny, które znalazły uznanie admiralicji brytyjskiej.

Po zatonięciu „Orła“ Polacy otrzymali kontr-torpedowiec „Garland“, na którym kontynuowali swoje walki, prowadząc konwoje do Murmańska lub na morze Śródziemne do brzegów Afryki.

Cała ta droga przemierzana wielokrotnie, znaczona licznymi sukcesami, dała nam wielu dzielnych oficerów, którzy swoje bogate doświadczenia wojenne oddali na służbę Rzeczypospolitej.

W wojnie tej były okręty takie, które od dawna otaczała aureola sławy, sięgająca często obu stron oceanu... O nich mówiło się w radio i drukowało specjalne biuletyny“. Ale były to okręty brytyjskie. O polskich dziwnie przemilczano. Np. „Garland“, chociaż banderę polską zaniósł do portów Palestyny, morza Egejskiego, Kanady, Stanów Zjednoczonych, Islandii, a nawet pod sam biegun nieomal, bo aż na Spitzbergen, chociaż pobił przy tym wszystkie rekordy pracowitości, przepływając ponad sto pięćdziesiąt tysięcy mil — stale był przemilczany w oficjalnych komunikatach.

Pomimo to marynarze polscy pozostawili po sobie wspaniałą legendę „Orła“, „Pioruna“, „Garlanda“, „Błyskawicy“, „Groma“ i „Orkana“.

„Niebieskie połacie oceanów, kaleczą czarne krzyże, znaczące groby polskich marynarzy i wraki polskich okrętów. Daleko, tysiące mil od Gdyni, leżą one na dnie głębin, a porozbijane działa i pokłady obmywają wody, ale przez 6 lat wojny salwy tych dział odbijały się tysiącznym echem od wybrzeży wszystkich kontynentów globu, dokumentując przed światem, że „Polska żyje i walczy o swoją wolność“.

Czyny naszych marynarzy dowiodły, że tak jak dla innych wielkich narodów, tak i dla Polski zachowuje swą moc obowiązującą ta stara zasada łacińska: „Navigare necesse est“.

Książka Bartosika stnowi więc nie tylko cenny wkład do literatury polskiej, ale jest dokumentem, stwierdzającym, że i na morzu Polacy walczyli nie mniej dzielnie, jak i na lądzie od Lenino do Berlina i od Narvik do Tobruku.

Książka ilustrowana jest ciekawymi i oryginalnymi zdjęciami, zebranymi przez autora i niewątpliwie znajdzie życzliwe przyjęcie u Czytelników.

---

*) „Wierny Okręt“ — Instytut Wydawniczy „Kolumna“ 1948 r.



W teatrze Nowym w Warszawie grana jest z wielkim powodzeniem komedia Labiche'a p. t. „Słomkowy kapelusz“, w opracowaniu Juliana Tuwima.

Na zdjęciu: Andrzej Bogucki i Krystyna Sznerówna.

PSYCHOLOGIA TEMATU

Każdy człowiek posiada powołanie do wędrówki po życiu i czynienia różnorakich obserwacji. Nie każdy jednak odnosi jednakową korzyść z podglądania życia. Wielu ludzi widziało przecież spadające z drzewa jabłko, ale dopiero mędrzec odkrył w tym spadku niewzruszone prawo grawitacji.

Większość naszych publicystów, obserwując życie, przybiera minę pogardliwą i pełną wyższości. Pociąga ich taki temat, w którym widzą, albo zdaje im się, że widzą, coś karykaturalnego, temat, z którego się mogą pośmiać tanim kosztem. W życiu codziennym takie stanowisko określamy jako zwykłe „przyczepianie się“.

Czy przypominacie sobie bajkę o Sfinksie? Mówią o nim, że siedział na brzegu drogi i zadawał zagadki każdemu przechodniowi. Jeżeli człowiek nie mógł dać odpowiedzi, Sfinks pochłaniał go żywcem. Jeżeli by mógł rozwiązać zagadkę, Sfinks byłby zginął. Nie obawiajmy się o Sfinksa w naszych wędrówkach publicystycznych. Pasie się spokojnie na łamach prasy i tuczy się demagogią. Żyje kosztem zdrowego rozsądku.

Są tematy nasiąknięte histerią jak gąbka wodą. Wskażmy na jeden z nich dla przykładu.

„Leży przede mną — pisze p. Koż. w „Przekroju“ (Nr 135) — autentyczny druczek. U góry napisano wyraźnie, skąd pochodzi: Centrala Zbytu Przemysłu Papierniczego, Łódź, Więckowskiego nr 33. Nieco niżej znak rejestracyjny dokumentu: P93/42/422 i stosowna data — żeby nie było żadnych wątpliwości. Jeszcze niżej zielona pieczęć wyjaśniająca, że list „polecony“.

Ten dramatyczny i należycie udokumentowany wstęp ma wprowadzić czytelnika w nastrój histerycznego oczekiwania jakiejś rewolucji. A oto treść dokumentu, który tak zadziwił naszego publicystę:

„Donosimy uprzejmie, że saldo na Ich koncie na dn, 1.1.48 r. wynosi 0,20 (groszy dwadzieścia)

na dobro nasze. Prosimy o odwrotne potwierdzenie wykazu salda“.

Czy to wszystko? Wszystko. Cóż tedy tak zadziwiło naszego autora?

Pisze on: „...zróbmy mały rachunek: list polecony kosztuje 55 zł. arkusz papieru i koperta — w sumie na pewno złotówkę. Tusz użyty do pieczęci, kropla atramentu do podpisu, wreszcie praca urzędnika. I to wszystko dla 20 gr!“

Ten obrachunek bardzo podniecił p. Koż. „Boże, Mój Boże! — woła żartobliwie. Spuść cholerę na biurokratów, biuralistów i buchalterów...“

Grzegorz Fafuła u Moliera mawiał uparcie: „chcę ich sądzić“. Gdyby p. Koż. nie poszedł tym pięknym śladem i zastanowił się nieco — doszedłby może do wniosku, że nie chodzi tu o 20 groszy, ale o pewną stałą zasadę bankowości, przyjętą w całym cywilizowanym świecie. Oto pierwszego dnia nowego roku każda instytucja bankowa, każda instytucja zbytu obowiązana jest do wyprowadzenia sald na kontach swoich klientów i powiadomienia ich o stanie rachunków. Jest to nie tylko kwestia przyzwoitości, ale prosty obowiązek. Tak było zawsze i tak jest teraz. I jest rzeczą obojętną czy saldo to wynosi 20 milionów czy 20 groszy. Bez takiego urzędowego powiadomienia do ksiąg instytucji wkradł by się chaos. A pewnie p. Koż. wie, że buchalter jest równie zmartwiony faktem zagubienia w rachunku miliona, co jednego grosza. Bo w rachunkach wszystko musi się zgadzać właśnie co do grosza. I przytoczę jeszcze p. Koż. opowiastkę starego buchaltera Banku Polskiego z r. 1937 gdy w instytucji tej kilkanaście osób przez kilka tygodni szukało 7-groszowego błędu. Może p. Koż. obliczy ile instytucję kosztowało owych 7 groszy?

Jest rzeczą zastanawiającą owa beztroska z jaką traktuje się każdy temat, albo — z jaką się go omija. Temat jest jak żywy człowiek — ma swoją psychologię. Dobrze jest jak pisarz panuje nad nim, źle jest jak temat panuje nad pisarzem. I nie chodzi tu tylko o mylny pogląd lecz o to, aby artystyczna intuicja pisarza sięgała w głąb życia, a nie ślizgała się po jego powierzchni. Zasadą będzie tu zawsze odkrycie i portretowanie prawa, a nie karykaturowanie wyjątku.

Wiąże się z tym i myśl ogólniejsza. Pisarz ma przywilej przemawiania do tysięcy, gdy zwykły człowiek przemawia do jednostek. Człowiek szepce, pisarz krzyczy. Ale za każdy przywilej trzeba płacić! Zapłatą jest tu kontrola odczuwania moralnego, inaczej pisarze będą podobni do owych pięćdziesięciu córek króla Danausa skazanych przez Jowisza do wiecznego napełniania wodą beczki bez dna. Kto chce pisać na wodzie, uczyć żelazo pływać lub łapać wiatr siecią — choć są to zajęcia wysoce efektowne — chwyta jedynie cienie zdarzeń i pracuje w tej fabryce wielkich chmur, z których się robi małe deszcze.

Dzwon jakiego użyliśmy w tym felietonie, jest może zbyt duży jak na ową maszynerię publicystyczną, potraktowaną przykładowo. Pamiętajmy jednak, że maszyneria ta jest w ciągłym użyciu. Niestrudzenie obrabia tematy i powoli wciąga pisarzy w swe tryby. Tam miele ich dokładnie, pozbawia wrażliwości i ukazuje postaci, które wprawdzie do złudzenia przypominają ludzi żywych, ale ludźmi żywymi nie są.

A przecież jedyną racją naszego istnienia jest — być żywym.

Don Kichot

ALLELUJA

Szarada (ułożył St. Walczyński)

Od wczesnego **wtór — siódmego**
Dzwon na wieży się rozbujał.
Głosi światu wieść radosną:
Pan Zmartwychwstał! Alleluja!

Święta **szósta i czwór — piąta**
W mgłę tajemnic jest spowita!
Jej **wspak — drugie — piąte—siódme**,
Któryż mędrzec nam odczyta?

Szczęśliwa i **druga — trzecia**
Siódma — pierwsza grzeszna dusza.
Bo ta **szósta — siódma** pora
Wszystkich uszczęśliwia, wzrusza, —

Alleluja! Głos rozbrzmiewa...
Natura się ze snu budzi...
W dzień radości Chrystus wlewa...
Miłość, zgodę, w serca ludzi.

St. Walczyński

NOWY KONKURS „TYGODNIA"

Ponieważ zmuszeni byliśmy drukować wcześniej numer świąteczny naszego pisma, aby na czas dotarł do wszystkich naszych Czytelników — przeto rozwiązanie zagadki Nr 31 podajemy w następnym numerze, aby nie pozbawiać tych wszystkich, którzy nie zdążyli nadesłać rozwiązania do dn. 19 marca, możności udziału w losowaniu nagród.



Powyżej podajemy zagadkę Nr 34, za rozwiązanie której Redakcja przeznacza:

5 nagród książkowych
oraz
10 nagród prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 7 kwietnia br.

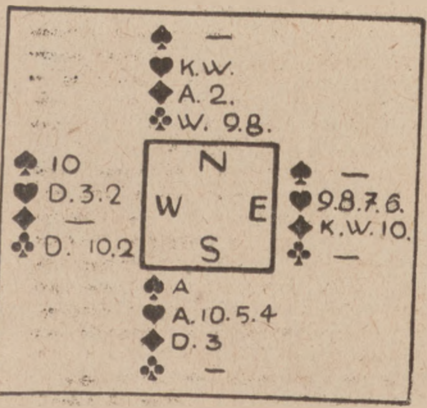
Kącik BRIDŻOWY

Rozwiązanie zadania Nr 8(8... ... i „N" biorą 6 lew. „N" zagrywa 9 karo, jeżeli „W" bije i gra pik — „N" bije asem i gra dwa razy w karo. „E" musi dodać trzy razy do kar i jest na przymusie.

Rozwiązanie zadania z Nr 10 (86): „S" kładzie blotkę kier z „N" i bije asem w ręku. Na piki wyrzuca A.K.D. karo z „N", następnie gra cztery razy w karo i „O" jest na przymusie z treflami i kierami.

ZADANIE 9

Atu piki: „S" zagrywa i oddaje jedną lewą.



WIELKOPOSTNY KONKURS
NA ROZRYWKI UMYSŁOWE

W dzisiejszym numerze kończymy nasz Konkurs Wielkopostny. Termin nadsyłania rozwiązań upływa dn. 15 kwietnia br.. Za rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. Pomiędzy zwycięzców konkursu rozlosowanych zostanie 10 nagród książkowych, a pomiędzy pozostałych, którzy rozwiążą chociaż jedno zadanie — 10 nagród pocieszenia — również książkowych.

Wraz z rozwiązaniem prosimy nadsyłać opinie, które zadania są najlepsze. Za trzy najlepsze zadania, wytypowane przez Czytelników, przyznane będą trzy specjalne nagrody książkowe. Prosimy o nadsyłanie nowych projektów. W następnym numerze rozpoczniemy „Konkurs Wiosenny".

SKŁADANKA — LOGOGRYF

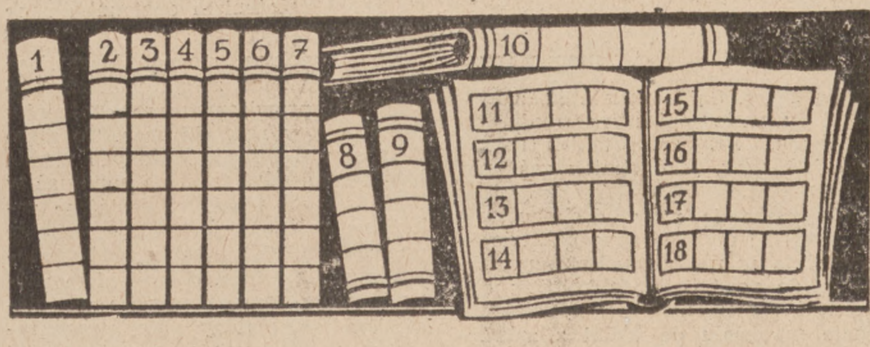
Aby rozwiązać zadanie, należy:

1. W podane kratki listew wpisać wyrazy o podanym znaczeniu.
2. Nie zmieniając pionowego i poziomego położenia listew zbudować z nich pięć liter, które dadzą tytuł książki wybitnego powieściopisarza polskiego. Dla ułatwienia zaznacza się, że listwy należy łączyć nakładając kratkę na kratkę o wspólnych głoskach.
3. Złożone z listew litery uporządkować tak, aby głoski na złączeniach czytane kolejno, dały imię i nazwisko autora wspomnianej książki.

Znaczenie wyrazów:

1. Początkowa ozdobna litera, 2. Nowochrzczeńcy, 3. Miasto na połudn.-wschód od Zamościa, 4. Rokosze, bunty, 5. Popularna nazwa wiatru halnego, 6. Greckie tancerki u bogatych Turków, 7. Miasto portowe nad Bosforem, 8. Miasto w Małej Azji, w którym św. Paweł założył pierwszą gminę chrześc., 9. Imię patrona Szwecji, 10. Rodzaj sfałdowanego kołnierza, 11. Rezultat wyprażonego na sucho węgla, 12. Myśli przewodnie, 13. Nie te, tylko..., 14. Zawołanie wiejskiej organizacji młodzieżowej, 15. Wiatr pomyślny, bijący prosto w żagle, 16. Murzyn, 17. Grecka bogini młodości roznosząca bogom nektar, 18. Płaski kawałek drzewa z jednego końca zaostrzony (wspak).

ul. A. Grzyb



SZARADZIŚCI UWAGA!

Na liczne zapytania Czytelników wyjaśniamy, że drugi numer „Rozrywki" ukaże się w końcu kwietnia. Należności nieuregulowane za pierwszy numer oraz składki i wpisowe na rzecz Polskiego Klubu Szaradzistów wpłacać można na konto P. K. O. Nr. I-54083 Jerzy Rundstedt, Warszawa. Odpowiedzi na zapytania udzielać będziemy w dziale „Odpowiedzi Redakcji".

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Zbieraczy kasowników okolicznościowych, reklamowych i specjalnych zainteresuje niewątpliwie fakt, że w Łodzi w Powszechnym Domu Towarowym znajduje się między innymi agencja pocztowa, która używa reprodukowanego dziś przez nas specjalnego stempla z napisem: „Łódź — 1-Kiosk 1".



×

Ciekawy miesięcznik belgijski „La Revue Internationale de Philatelie" z dnia 15 lutego br. podaje, że w końcu stycznia ukazała się w obiegu zapowiadana już od dawna seria „Industries" (przemysły). Ponieważ ma ona propagować za granicą eksport belgijski, znaczki są bez dopłaty. Cała seria składa się z sześciu znaczków: 60 c. (przemysł chemiczny), 1,35 fr. (rzemiosło artystyczne), 1,75 fr. (rolnictwo), 2,25 fr. (port w Antwerpii), 3.15 fr. (przemysł włókienniczy) i 6,30 fr. (przemysł stalowy). Jednocześnie ukazała się karta pocztowa ze znaczkiem za 1,75 fr. z powyższej serii oraz koperta lotnicza ze znaczkiem o nominale 3,15 fr.

Także w Belgii 16 lutego ukazały się przedruki na „Łuczniku", a mianowicie 9, 11, i 13.50 fr.

Jeśli chodzi o znaczki belgijskie, tak u nas dawniej popularne, to dzisiaj — niestety — w związku z trudnościami dewizowymi widzi się ich bardzo mało. Nasi młodzi zbieracze nie mogą więc, jak niegdyś my, entuzjazmować się różnymi Orvalami itp.

×

Omawiana przez nas w poprzednim kąciku szwajcarska seria olimpijska przyniosła według pobieżnych obliczeń przeszło ... tysięcy franków szwajcarskich czystego zysku i to przy obciążeniu każdego znaczka dopłatą w wysokości jedynie kilku centymów.

Wskazuje to najlepiej na to że zdrowa polityka wydawnicza powinna polegać na wypuszczaniu dużych nakładów znaczków o niskim nominale i z małą dopłatą. Nasze władze pocztowe wolą — niestety — odwrotne proporcje...

×

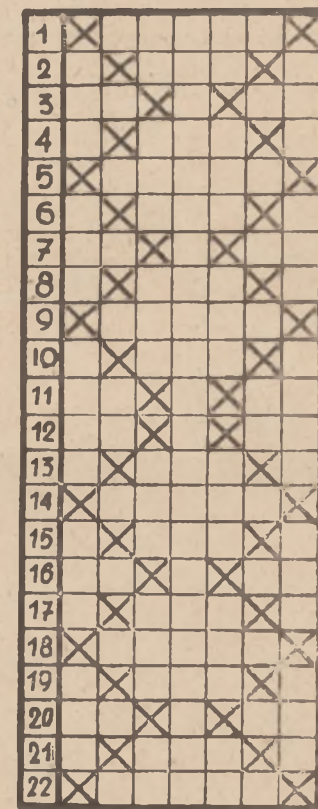
Dnia 7 marca br. weszły do obiegu w Czechosłowacji trzy pierwsze znaczki z serii sokolskiej o nominałach: 1,50 Kcs (brunatny), 3 Kcs (czerwony) i 5 Kcs (niebieski). Wszystkie trzy znaczki wyobrażają alegoryczną scenę: hołd sokolstwa składany Republice Czechosłowackiej. Seria ta w czerwcu zostanie uzupełniona jeszcze dwoma wartościami, przedstawiający mi J. Vanicka i J. Scheinera.

Witold J. Orłowski

Uwaga! Wobec niewykonania w terminie kliszy ze znaczkami poprzedni kącik ukazał się bez reprodukcji znaczków, za co przepraszamy naszych czytelników.

LOGOGRYF ŚWIĄTECZNY

W podaną figurę należy wpisać 22 wyrazy siedmioliterowe. Kratki oznaczone punkcikami dadzą rozwiązanie.



ZNACZENIE WYRAZÓW

1) Rodz. altanki, 2) Gat. fasoli, 3) Rodz. gry w karty (zdrobn.), 4) Potok, ruczaj, 5) Instrument muzyczny (wspak), 6) Rycina, sztyk, 7) Święty nia pogańska, 8) Rzemieślnik, 9) Zjazd rolniczy, 10) Rodz. altany, 11) Figurant, statysta, 12) Towary importowe, 13) Część kulbaki, 14) Legendarny kij, 15) Uwodziciel, 16) Grzechotka, 17) Człowiek mówiący prawdę w oczy, 18) Podczaszy Jowisza, 19) Poemacik epiczny, 20) Szkopek, 21) Stołek, 22) Roślina z rodz. złożonych.

Iwan Wlos-Wiecki

ELIMINATKA



W podaną figurę należy wpisać 5 wyrazów o poniżej podanym znaczeniu. Następnie wykreślić z nich wszystkie litery wchodzące w skład klucza. Pozostałe litery, czytane kolejno dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Niderlandzki mąż stanu (1625—1672). 2. Ozdoba muzyczna polegająca na szybkim powtarzaniu po sobie dwóch sąsiednich tonów. 3. Barwny ptak brodzący, żyje w Ameryce Płd. 4. Pierwiastek chemiczny używany do wyrobu koszulek do lamp gazowych. 5. Diabeł z ukraińska. **Klucz:** W przemyśle organizacja kilku przedsiębiorstw, kartel.

Leszek Malański

Odpowiedzi Redakcji

P. Józef Witkowski w Dynowie. — Omawiane w art. „Malujmy światłem“ lampy „Photoflux“ i „Photolita“ produkują holenderskie Zakłady Philipsa w Warszawie. W sprawie zakupu radzimy Panu skomunikować się bezpośrednio z przedstawicielstwem Philipsa w Warszawie, ul. Zgoda 5.

P. Janek z Izbicy. — Radzimy stanowczo zwrócić się natychmiast bez żadnych wahań i namysłów do najbliższego lekarza. Tylko nie zwlekać!

P. J. B. z Kościan. — Za „obfity materiał“ dziękujemy. Stopniowo wykorzystamy go.

P. Konrad Staniewski — Kalisz, — Majkowska 17. — Reportażu nie wydrukujemy, bo za obszerny i spóźniony, tem nie mniej nie należy zrażać się naszą odmową.

P. Izydor Plaszczek — Rybnik, ul. Zawadzkiego 14. — Otrzymaliśmy, Zakwalifikowane do zapasu. Terminu druku określić nie możemy.

P. A. Węgrzyniak w Inowrocławiu. — Prof. Lasocki radzi Panu najpierw ukończyć szkoły.

P. Antoni Marcinek — Bukowiec Górny, pow. Leszno Wlkp. — Terminu druku określić nie możemy. Opowiadanie nienajgorsze.

P. Zygmunt Michałowski — Warszawa, ul. Hoża 57. — Zakwalifikowane do zapasu. Terminu druku określić nie możemy.

P. Feliks Gwiżdż — Kraków, ul. Kremerowska 4. — Opowiadanie podhalańskie p. t. „Wielkie próby“ wydrukujemy, ale nie wcześniej jak w końcu kwietnia. List z fotografiami, o których Pan wspomina, prosimy przysłać. Honorarium normalne jak w tygodnikach.

P. Sławomir Reinhardt — Radzyń Podlaski. — Istotnie zaszła pomyłka, powinno być 1810. Za prenumeratę należy się dopłata 30 zł za marzec.

P. Czesław Michnik — Kielce, ul. Markowskiego 30. — Czeka na swoją kolejkę.

P. Szczęsny. — Za słabe dla nas.

P. Wojciech Kokonczyński w Ciechanowie. — Rozwiązanie zdjęć dobre, zagadki złe.

P. Edmund Gawroński — Miłosław, pow. Września. — Za nadesłane zdjęcia dziękujemy.

(c.d. ze strony 14)

„WESELE U BARYCZKÓW“

marzenie, na coś, co wybiegało poza rzeczywistość? Nie wyobrażała sobie, aby mogło być inaczej. A jednak?...

Sala balowa u Baryczków... Błyszcząca posadzka, w której przeglądać się można jak w lustrze... Na ścianach cudne malowidła... Kapela gra coś skocznego do tańca... Kręcą się pary w atłasach, w brokatach... Na długich stołach dymią półmiski smakowitego jadła... Gęsi, indyki, poubierane w pawie pióra... W kieliszkach pobłyskują bursztyny miodu... Czerwone róże krwawiące w kryształowych wazonach.

Przed panną Agatą skłania się nisko młodzieniec otulony błękitnym płaszczem. Zrzuca płaszcz i zaprasza do tańca...

— Raz tylko dookoła sali — namawia gorącym szeptem.

Panna Agata ulega pięknemu uwodzicielowi. Pozwala się objąć, przytula głowę do piersi w atłasach, ściska miękką rękę, która nią kieruje. Jak dobrze, jak słodko płynąć po sali, kołysać się tak jakby się leżało w łodzi wśród kwiatów... Błękitna woda... Srebrzysty księżyc... przystań najcichsza..

Dziękuję ci piękny tancerzu... Tę czerwoną różę możesz zabrać na pamiątkę... Muszę teraz odpocząć... jestem bardzo, bardzo zmęczona... Głowa panny Agaty opada na złożone na stole ręce. Po chwili morzy ją sen. Nie przestaje się uśmiechać...

Tego dnia panna Agata spóźniła się do pracowni.

Zuzanna Rabska

TYDZIEŃ Kobiety

SWIĘCONE SPRZED STU LATY

Zastawy wielkanocne sprzed stu laty wyglądały nieco inaczej niż dziś. Przewyższały je przede wszystkim obfitością wszelakiego jadła i wprost fantastycznymi przybraniami najrozmaitszych wyszukanych potraw, bab wielkanocnych i innych przysmaków.

Oto jak opisuje zastawę wielkanocną z ubiegłego wieku ówczesny kronikarz: „Na ogromnym stole, przykrytym świeżym obrusem, środek zajmują szynki, ozory, nadziewane prosięta, pieczone baranki, niby ta stara gwardia, o którą rozbijają się najzuchwalsze apetyty. Na skrzydłach tego taboru stoją podobne wieżom baby, zadziwiające ogromem, a jeszcze więcej lekkością. Dalej na brzegach stołu podobne rzymskim mozaikom — placki, mazurki z najfantastyczniejszymi wzorami, pełne kokieterii i smaku... a wszędzie rozrzucone jaja, podobne do piramid, kul i granatów...“.

A te jaja wielkanocne też były zazwyczaj w misterny sposób malowane w ludowe wzory o różnych kolorach.

Higiena i ZDROWIE

Jak zapobiegać zakażeniu ran i skaleczeń

Poza chorobami zakaźnymi, powstającymi wskutek inwazji zarazków przez nos, usta i przewód pokarmowy, istnieją jeszcze zakażenia, mające źródło w przedostawaniu się złośliwych drobnoustrojów przez uszkodzoną skórę. Są to zakażenia, z którymi głównie chirurdzy mają do czynienia. Przyczyną takich uszkodzeń jest uraz, jako skutek zaś powstaje rana.

Wnikające do rany drobnoustroje — wszędzie obecne ropne bakterie — wywołują w ranie zapalenie, prowadzące do ropienia. Jakkolwiek odporność samego organizmu dostarcza ranie materiału do walki z zakażeniem, nie wystarczą to jednak do zapobiegania powikłaniom, o ile nie zapewni się ranię takich warunków, które uchroniłyby ją od tych powikłań. Otóż takie warunki osiągamy, stosując się do następujących wskazań:

1) Staranne oczyszczenie skóry naokoło rany, co uskuteczniamy wacikami, nasyconymi benzyną lub eterem. Włosy, np. na głowie, należy usunąć.

2) Przemycie rany — najlepiej pod bieżącą wodą. Spłókuje się w ten sposób wszelkie nieczystości, które przedostały się do rany.

3) Nałożenie opatrunku ze sterylizowanej gazy, waty i bandaża. Można przed nałożeniem opatrunku ranę zajodynować.

Rany większe, mocno krwawiące lub wymagające zaszycia muszą po założeniu prowizorycznego opatrunku dostać się w ręce chirurga. To samo dotyczy ran zanieczyszczonych ziemią lub błotem, gdyż te mogą zawierać w sobie zarazki tężca. Powstające zakażenie w ranie, prowadzące zwykle do ropienia, daje o sobie znać wzmagającym się bólem, obrzmieniem skóry dookoła rany, nierzadko podniesieniem temperatury ciała, nawet zajęciem najbliższych naczyń i gruczołów limfatycznych. Obrzmienie gruczołów — to pierwszy alarm, powstrzymujący narazie szerzenie się zakażenia.

Miejscowe zakażenie leczy się okładami pod ceratką. Do okładów używać należy sterylizowanej lub wygotowanej gazy, grubo złożonej. Można do okładów, oprócz wody przegotowanej, brać wodę gulardową, płyn Burowa, z domieszką spirytusu lub bez niego. Na to — ceratka, sucha wata lub lignina i bandaż. Okład taki należy zmieniać kilka razy dziennie.

ZIOŁA TO ZDROWIE



Paproć (samcza) jest środkiem leczniczym przeciwko tasiemcowi

STYGMATA KUKURYDZOWE (włoski kukurydzowe). Działają moczopędnie, tj. zwiększają ilość wydalonego moczu, łagodzą stan zapalny pęcherza, nerek i miedniczek nerkowych. Wprowadzone zostały do lecznictwa przez lekarzy francuskich.

Dawka: łyżka stołowa na szklankę wody jako napar. Przecedzić przez płótno. Pić trzy razy dziennie.

NAWŁOĆ POSPOLITA (ziele). Posiada własności moczopędne. Stosuje się w schorzeniach nerek, przy kamieniach pęcherzowych, w chorobach przewodów moczowych, wodnej puchlinie, przy cierpieniach artretycznych. W ostatnich czasach nawłoć pospolita znalazła uznanie, szczególnie u lekarzy francuskich i niemieckich, jako dobry lek moczopędny. W Polsce przyczynili się do rozpowszechnienia nawłoci jako leku jeńcy tatarscy z czasów wojen tatarskich i tureckich.

Dawka: łyżka stołowa na szklankę wody jako napar. Pić trzy do czterech razy dziennie

GRYPA I DZIECI

Według ułożonego programu miałem zamiar w dzisiejszym artykule mówić na temat wiosny: o roli słońca, powietrza itp. Okazało się jednak, że temat wiosny jest nieco przedwczesny, że bardziej aktualna jest u nas obecnie, niestety, **grypa**. Tak wielkiej ilości zachorowań na grypę dawno nie mieliśmy, a poza tym nie było takich ciężkich przebiegów i tylu komplikacyj.

Już na wstępie należy zaznaczyć, że najgroźniejszą jest grypa dla niemowląt, im najwięcej szkodzi i spośród nich największe czyni spustoszenia.

Zazwyczaj zaczyna się od kataru, kaszlu, podniesienia temperatury, niepokoju, utraty apetytu itp. Objawy na razie są dość łagodne, nawet nie niepokojące i zdaje się, że przebieg choroby jest naogół dość dobry.

Tymczasem, jak wynika z przebiegu obecnej grypowej epidemii, sprawy komplikują się w drugim okresie, w czasie oczekiwanej rekonwalescencji. Wiele dzieci zapada na ropne zapalenie wyrostka sutkowego (ucho), inne na zapalenie płuc o charakterze przewlekłym, inne — na miedniczki nerkowe, niektóre — na zapalenie opłucnej.

A więc idźmy po kolei:

W liczniejszych rodzinach, gdzie zapada na grypę jedno z dzieci, należy przede wszystkim chore dziecko izolować, aby w ten sposób położyć kres rozszerzeniu się choroby na resztę dzieci. W wątpliwych wypadkach gorączkowych nie zwlekać z wezwaniem lekarza i oddać dziecko pod jego opiekę. Wszelkie bałamutne porady „dobrych sąsiadek i przyjaciółek“ zbyć niczem i szukać porady tylko u lekarza pediatry, który zarządzi — co należy czynić i postara się zapobiec groźnym następstwom.

W wypadku niewątpliwie stwierdzonej grypy — zachować w otoczeniu czystość, wentylować pokój chorego dziecka, dbać jak najskrupulatniej o dobre pożywienie.



Nie chcę tu wdawać się w szczegóły leczenia, gdyż są to rzeczy zupełnie indywidualne i dotyczą każdego przypadku z osobna, na co jednak ogólnie kładę zawsze duży nacisk — to pożywienie.

Wiemy z doświadczenia, że z jedzeniem u dzieci w ogóle, a szczególnie w czasie choroby ma się bardzo dużo kłopotów. Wiemy również, że w czasie choroby ujawniają się wszystkie słabe strony, przywary i dokuczliwe nawyki dzieci. Dlatego więc w momencie choroby może więcej niż kiedykolwiek — dziecko łaknie pieszczoty i łagodnego traktowania jego osoby. Nie denerwujmy się więc z byle błahego powodu i nie dajmy się łatwo wyprowadzić z równowagi!

Od dobrej opiekunki wymagamy przeto: przestrzegania zasad higieny, łagodności, dobrego serca i równowagi; zdenerwowanie otoczenia najłatwiej bowiem udziela się dziecku. Zachowanie spokoju jest kardynalnym warunkiem dobrej pielęgnacji.

Do przybycia lekarza nie należy nic nie robić, gdyż nie zawsze mamy przed sobą akurat **grypę**. Szafowanie olejkiem rycynowym nie zawsze jest obojętne dla dziecka. Nie leczmy sami: zajmijmy się głównie pielęgnowaniem — to wielkie zadanie, od którego w dużej mierze jest zależny wynik leczenia.

Ileż to razy w swojej praktyce spotykałem przypadki ciężko chorych dzieci, prawie beznadziejnych — a jednak przychodzą radosne momenty przełomów i dziecko wraca do sił!

Licznym matkom chcę zakomunikować, że grypa przebiega pod rozmaitymi postaciami, a tych ciężkich przebiegów mamy na ogół nie tak wiele, aby sądzić, że już każde dziecko w następstwie musi mieć komplikacje.

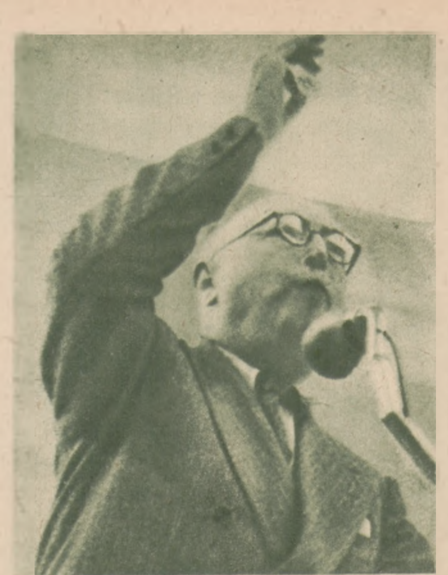
Resztki zimy szybko przeminą — pomyślmy naprawdę o tym, że to już prawie kwiecień, a dzieci nasze pod dobroczynnymi promieniami słońca szybko wracą do zdrowia. Zaufajmy słońcu!...

Dr med. B. M.



Modele i fotografie: „Harper's Bazaar", „Vogue", „Ambassador"

Z SZEROKIEGO ŚWIATA



Pietro Nenni, przywódca socjalistów włoskich, jest wybitnie utalentowanym mówcą.



Biskup Rocques w uroczystej procesji błogosławi morze z wałów chroniących niziny holenderskie przed zalewem.



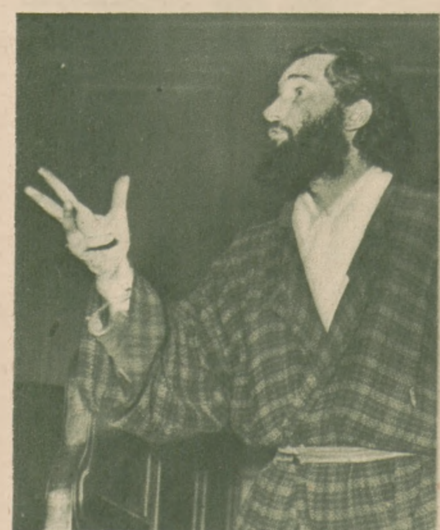


NOCNA BITWA MORSKA

Fot. górna: Łódź podwodna znauważona w pobliżu konwoju! Kontrtorpedowce oświetlają powierzchnię morza rakietami.

Fot. dolna: Konwój na Maltę. Okręty wojenne ostrzeliwują z dział przeciwlotniczych atakujące samoloty włoskie.

(PATRZ „BÓJ „PIORUNA" POD ST. MALO" — J. BARTOSIKA NA STR. 12—13).



Niejaki Roger Calame — Francuz na służbie Gestapo, który przechwalał się w swoim czasie, że jest w tej służbie najzdolniejszym agentem. Ofiarą kanalii padło 15 rozstrzelanych i ponad 100 zesłanych do obozów koncentracyjnych patriotów francuskich. Teraz zbrodniarz odpowiada przed sądem za swe czyny: udrapowany w szlafrok zgrywa się na sali rozpraw „robiąc wariata".



Francuz — Pierre Passelande z Nantes, Amerykanin — Robert Tomlinson z Georgii, Rosjanin — Wiktor Wasiliew ze Stalingradu i Anglik E. T. Lloyd ze Shropshire przy codziennym ceremoniale wynoszenia i zawieszania flag czterech mocarstw nad gmachem Komendy Sojuszniczej w Berlinie.



René Clair, który ostatnio wrócił z Ameryki do Paryża, jest nie tylko znakomitym reżyserem filmowym, ale i czarującym kolegą. W ten czuły sposób dziękuje artystce Marcelle Derrien za to, że wyszła go powitać na dworzec kolejowy.



Samochód „owinął się" dokoła drzewa! Tak niezwykłemu wypadkowi uległ po „lekkim piwku" pewien automobilista amerykański, którego wóz „zarzucił" wskutek ślizgawicy. Kierowca wyszedł z wypadku bez najmniejszego zadraśnięcia.



Życie zaczyna się po sześćdziesiątce!... Daje temu dowód dziewiątka dziarskich staruszek, zbierających laury w regatach na jeziorze Oakland. Z prawej u góry — 69-letni kapitan tej obsady — Mrs. Klara Feno o wyrazie twarzy „twardej żyły wodniackiej".

WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień". Redaguje: Zespół redakcyjny. Adres Redakcji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8. Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 11 — 13. TELEFONY: Redakcji — 86-164, Administracji — 88-715. Redakcja rękopisów nie zwraca. Prenumerata miesięczna 90 zł., półroczna 520 zł., roczna 1000 zł.

TYDZIEŃ

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 1 — 4766. Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr. 107. Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 120 zł. W kolorze — 50 proc. drożej.

R. S. W. „Prasa", Z. G. W-wa, Smolna 12, druk okładki wykonały Zakł. Wklęsłodruk. R. S. W. „Prasa", W-wa